

EMIL ZOLA

GERMINAL

Emil Zola

Germinal

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23524578

Germinal: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Germinal: walka Kapitału i Pracy, czyli o mrocznych wiekach bez praw pracowniczych i zasad BHP. Rozparliśmy się już dawno, Europejczycy, w pluszowych fotelach i nie pamiętamy, czemuż to słusznym i pięknym ideom, które patronują wrzeniom rewolucyjnym, towarzyszy szła zniszczenia, wściekłość, zezwierzęcenie i mord – czemu pokrzywdzeni są tak brzydcy i brudni (po prostu niemedialni). Okazję powtórnej analizy podłoża buntu społecznego, jego surowej gleby, daje naturalistyczna, symboliczna, oparta na analizie faktów i danych statystycznych powieść Emila Zoli Germinal w tłumaczeniu Franciszka Mirandoli.

Содержание

Część pierwsza	4
I	4
II	18
III	31
IV	51
V	68
VI	84
Część druga	99
I	99
II	115
III	131
IV	150
Конец ознакомительного фрагмента.	158

Emil Zola

Germinal

Część pierwsza

I

Noc była głęboka, na niebie nie błyszczała ani jedna gwiazda, nie można było rozróżnić przedmiotów na odległość kilku kroków. Drogą z Marchiennes do Montsou, biegnącą prosto jak strzelił, przez pola zarosłe burakami szedł człowiek. Nie widział ni drogi, po której kroczył, ni linii horyzontu, gdzie niebo czarne stykało się z równią, tylko wiatr marcowy, gwałtowny, bił go po piersi i twarzy, wiatr, hulający niby po morzu po tych rozłogach, zimny, niosący wilgoć bagien, brutalny, nieustający. Dokoła nic w ciemności, ni sylwetki drzewa, ni zarysów wzgórza, nic.

Człowiek ów wyszedł z Marchiennes około drugiej w nocy, ubrany tylko w cienki bawełniany kaftan i spodnie z wełnianego pluszu, i do tej pory szedł szybkim krokiem, drżąc z zimna. Pod pachą gniótł małe zawiniątko, które mu bardzo zawadzało. Przekładał je ustawicznie i przyciskał do siebie, usiłując obie posiekane od chłodu ręce wsunąć do kieszeni spodni. Miał tylko jedną myśl, nadzieję biednego, bezdomnego robotnika

bez pracy, że ze świtem wiatr przycichnie i robi się nieco cieplej. Tak szedł i szedł, aż wreszcie dwa kilometry przed Montsou ujrzał światło trzech palących się na wolnym powietrzu stosów węgla. Umieszczone były one jakby gdzieś wysoko i zdawały się bujać w powietrzu. Zrazu zawahał się niepewny i gotów zawrócić, ale potem poszedł dalej, nie mogąc się oprzeć chęci ogrzania się choćby na chwilę u ognia. Droga skręciła nagle, światła znikły. Teraz po prawej ręce miał parkan zbity z szerokich desek, u stóp parkanu były szyny, po lewej zaś mały pagórek, spoza którego wyzierały szczyty dachów jakiejś niby wsi w dolinie rozłożonej. Uszedł może ze dwieście kroków, nagle na samym skřęcie ukazały się znowu światła, a podróżny i tym razem nie mógł pojąć, jak mogą palić się tak wysoko na czarnym niebie podobne do dwu kopcących tarczy księżycowych. Teraz jednak uwagę jego zwróciło co innego. Na płaskim terenie ujrzał olbrzymią, bezkształtną masę chaotycznie zbitych w jeden kłęb domów, ponad które sterczały w górę kominy. Słabe, zamglone światła łyskały przez szyby, pięć czy sześć latarni chwiało się na belkowaniach, zębatymi czarnymi sylwetkami rysujących się w ciemności niby potworne szkielety. Pograżona w ciemności, otulona chmurą dymu masa ta wydawała z siebie jeden tylko odgłos, ciężkie, głuche dyszenie niewidzialnej maszyny parowej.

Wędrownik rozpoznał nareszcie kopalnię. I zaraz opanowała go myśl przykra, natrętna, że nic mu z tego, bo i tutaj z pewnością roboty nie znajdzie. Zamiast przeto podejść bliżej budynków, skierował się na wzgórze, gdzie tliły w żelaznych koszach węgle,

służąc równocześnie jako latarnie i do ogrzewania robotników. Robotnicy musieli widocznie pracować w szachcie do późnej nocy, bo dotąd jeszcze szuflowano miał. Posłyszał teraz turkot wózków kolebkowych na szynach i dostrzegł rysujące się na tle ognia sylwetki ludzi, zajętych ich opróżnianiem.

– Dobry wieczór! – rzekł i zbliżył się do jednego ogniska.

Odwrócony plecami do ognia stał poganiacz. Był to stary człek ubrany w kaftan z fioletowej włóczki, w czapce z króliczej skóry na głowie. Żółty, rosły koń stał jak z kamienia wykuty, czekając na opróżnienie sześciu wózków, które właśnie przywiózł. Pomocnik jednak nie śpieszył się. Był to wysoki, szczupły chłopak, z miną zaspaną. Spod kapelusza wymykały mu się rude włosy, leniwym ruchem naciskał dźwignię i wózki jeden za drugim przechylały się na osiach wysypując swą zawartość. Tu na wzgórzu wiał jeszcze ostrzejszy wiatr. Każdy jego powiew lodowaty ciał twarz jak brzytwą.

– Dobry wieczór! – odparł stary.

Zapanowało milczenie. Przybysz czuł, że patrzą nań podejrzliwie, wymienił więc swe nazwisko.

– Nazywam się Stefan Lantier, jestem maszynistą, nie wie pan, może mógłbym tutaj znaleźć pracę?

Płomień oświecał go teraz jasno. Mógł mieć ze dwadzieścia lat, był to piękny, ciemnowłosy chłopak, a cała postać jego wyrażała siłę i energię.

Poganiacz uspokoił się i odparł potrząsając głową.

– Pracę... tutaj... maszynista? Nie... nie! Wczoraj dopiero

zgłaszało się dwu. Nie ma pracy.

Zamilkli obaj, gdyż powiał silny, ostry wiatr. Po chwili Stefan wskazując na ponurą grupę domów u stóp wzgórza spytał:

– To kopalnia węgla? Prawda?

Stary nie mógł zaraz odpowiedzieć. Porwał go silny kaszel, wstrząsający całym jego ciałem. Wreszcie splunął, a flegma na zaróżowioną od ognia ziemię padła czarną plamą.

– Tak, kopalnia węgla, Voreux... Domy robotnicze stoją tutaj opodal... widzi pan?

Ręką wskazał na domy wioski rozłożonej w kotlinie, które Stefan dostrzegł już przedtem. Wózki tymczasem opróżniono, a stary począł iść na sztywnych od reumatyzmu nogach za koniem, który sam, bez bicia ruszył z miejsca i kroczył powoli między szynami ruchem automatu, nie troszcząc się o wiatr, który mu jeżył grzywę i siekł po oczach, piersi, nogach.

Kopalnia Voreux zarysowała się teraz wyraźniej, a Stefan, zapomniawszy grzać sobie ręce u ogniska, rozglądał się dokoła. Rozróżnić mógł już poszczególne części fabryki, sortownie o ścianach jakby posmarowanych mazią, wieże szachtów, obszerne zabudowanie mieszczące maszynę windy, małą czworograną wieżyczkę pompy wodnej. Cała ta w małej kotlinie przyczajona kopalnia, ze swymi niezgrabnymi ceglanyimi budynkami i kominami, co jak rogi groźnego zwierza wznosiły się w górę, wydała mu się w tym mdłym oświetleniu olbrzymim potworem czyhającym na ludzi i pożerającym ich masami. Potem począł myśleć o sobie, o swoim życiu, życiu wagabundy, od kiedy

zaczął szukać pracy, to jest od dni ośmiu. Potem ujrzał się na powrót w warsztacie kolejowym w Lille, skąd go wygnano za to, iż pobił przełożonego. W sobotę przybył do Marchiennes, gdzie się spodziewał znaleźć zajęcie w hutach. Ale ani tam, ani w Sonnevile roboty nie było. Niedzielę spędził ukryty wśród belek wielkiego składu drzewa, skąd go o drugiej w nocy wygnał dozorca. Nie posiadał ni grosza, ni okruszyny nawet chleba. I cóż się z nim stanie na tych ogromnych rozłogach, gdzie nawet schronić się nie ma gdzie przed lodowatym wiatrem? Gdzie iść? Tak – rozmyślał – to kopalnia węgla. Zapatrzył się w grupę budynków fabrycznych, słabo oświetlonych latarniami, gdy nagle otwarły się drzwi kotłowni, buchnęła fala światła, ujrzał jasne paszcze pieców, czarne cielska kotłów i sylwetki ludzkie na tle jasności i pojął teraz dokładnie, że to regularne dyszenie uchodzącej pary nadawało fabryce pozory olbrzymiego, ciężko oddychającego potwora.

Tymczasem pomocnik poganiacza grzał się u ogniska i spoglądał na przybysza. Stefan właśnie zamierzał podnieść swe zawiniątko, gdy głośny kaszel oznajmił mu, że stary wraca. Powoli wyłaniał się z ciemności wraz ze swym żółtym koniem, ciągnącym sześć wózków naładowanych na nowo.

– Czy są fabryki w Montsou? – spytał Stefan.

Stary splunął znowu czarno i głosem przez wiatr przerywanym odparł:

– O, fabryk tu nigdzie nie brak. Inaczej tu było co prawda przed trzema czy czterema laty! Wszędzie huczały maszyny, nie

można było nastarczyć robotników... a jakie były zarobki! Teraz inaczej, trzeba przyciągać paska. Prawdziwa nędza panuje w całym kraju, robotnik nie może znaleźć pracy, fabryki zamykają się jedna po drugiej, może to i nie wina cesarza, ale po co mu było wdawać się w wojnę w Ameryce? Wiedzieć musiał przecież, że tam ludzie i zwierzęta poginą na cholerę!

I poczęli obaj żalić się w krótkich, wiatrem przerywanych zdaniach.

Stefan opowiadał dzieje swej tygodniowej, daremnej włóczędzy. Czyż ma umrzeć z głodu? Niedługo roić się będzie po gościach od żebraków.

– Tak – mówił stary – to się źle skończy. Bóg się gniewa, że tylu chrześcijan wyrzucono na ulicę.

– Nie co dnia teraz mają ludziska mięso – śmiał się Stefan.

– Ha... żeby tylko co dnia był kawałek chleba – vzdychał stary.

– Tak, tak, żeby chociaż chleb!

Umilkli, wiatr porwał ich słowa i poniósł kędyś daleko z dzikim skowytom.

– Tam! – krzyknął poganiacz wskazując ręką na południe – tam jest Montsou!

Wyciągniętą ręką wskazywał w ciemności jakieś niewidzialne punkty i nazywał je po kolei. Tam, w Montsou pracowała jeszcze cukrownia, ale druga, firmy Hoton, ograniczyła ilość robotników. Zresztą istniała tam jeszcze tylko fabryka mąki, firmy Dutilleul, i fabryka lin, firmy Bleuze, dostarczająca lin do

kopalń. Trzymały się jako tako dotąd. Stary zakreślił ręką szeroki łuk ku północy. Tam leży Sonneville, mówił, ale warsztaty budowlane nie mają teraz ani trzeciej części dawnych zamówień, dalej w Marchiennes z trzech pieców hutniczych teraz już dwa tylko funkcjonują, a w hucie szkła w Gagebois wybuchnąć ma niebawem strajk, gdyż mówią o obniżeniu płac.

– Wiem, wiem! – powtarzał Stefan. – Byłem tam, byłem!

– U nas – dodał poganiacz – dotąd się wlecze jako tako. Choć i tu zmniejszono płacę, a widzi pan, tam naprzeciwnie, w *Victoire* palą się już tylko dwie baterie koksove.

Splunął i zaprząwszy na pół śpiącego konia do opróżnionych już wózków oddalił się powoli i znikł w ciemnościach.

Stefan znał teraz całą okolicę. Ciemno było jeszcze wokół, ale gest starego rozwił niejako wszędzie całun nędzy. Rozpościerał on się daleko milami, a Stefanowi zdało się, że poddmuchy marcowego wichru hulające po rozłogach niosą na skrzydłach wołanie o ratunek tysięcy ginących z głodu.

Zrywały się coraz to gwałtowniejsze niosąc śmierć, dusząc życie słabo tlejące w piersiach wygłodzonych. Stefan opanowany strachem wbił się oczyma w pomrokę, usiłując przedrzeć ją, dostrzec zło, co tam gryzło życie u podstaw, i bojąc się zarazem ujrzeć straszne widziadło. Ale dal czarna była jeszcze nicością, nie miała konturów, czym się stanie, w co obróci, nie można było przewidzieć. Gdzieś tylko w wielkiej odległości tlały baterie koksove, stały szeregiem, w liczbie wielkiej, z kominami sterczącymi w górę, tworząc pasma płomieni, a dwie wieże

nico bardziej na lewo tliły niebiesko, jak olbrzymie pochodnie. Zdawało się, że to pogorzel jakaś gigantycznych rozmiarów, lub że to gwiazdy smutne świecące na niebie czarnym krainy węgla i żelaza.

– Pan może z Belgii?

Poganiacz wrócił i rozpoczął na nowo przerwana rozmowę.

Tym razem przywiózł tylko trzy wózki. Poczęto je opróżniać. Wydarzył się wypadek, przy windzie pękła jakaś śruba i na kwadrans robota stanęła. Przesuwacze przestali toczyć wózki po szynach, zapadło milczenie przerywane tylko tępymi uderzeniami młota spadającego kędyś w dali na żelazną blachę.

– Nie, pochodzę z południa – odparł Stefan.

Pomocnik rad z przerwy, opróżniwszy wózki, usiadł na ziemi. Milcząc, oczyma bez połyску wpatrywał się w starego, dziwiąc się widocznie, że tyle dzisiaj mówi. Zazwyczaj stary poganiacz nie był wielomówny. Może spodobał mu się obcy przybysz, a może napadła go chwilowa gadatliwość, która skłania starców do rozmawiania z sobą w braku towarzystwa.

– Ja zaś – rzekł – pochodzę z Montsou i nazywam się Bonnemort².

– Bonnemort? – zawołał zdziwiony Stefan. – To pewnie przezwisko?

Stary roześmiał się i rzekł wskazując na kopalnię:

– Tak, tak, trzy razy wyciągano mnie stamtąd... raz z opalonymi włosami, drugi, gdy ziemia zasypała mnie już po

² Bonnemort – tyle co **truposz**, przezwisko. [przypis tłumacza]

pas, trzeci raz wreszcie rozdętego wodą jak żaba. Gdy się przekonano, że nie mogę się zdecydować przenieść na drugi świat, przewzano mnie Bonnemort, ot tak dla śmiechu!

Rozweselony począł się śmiać. Wydawał przy tym odgłos podobny do zgrzytu źle nasmarowanej windy, a wreszcie zakończył strasznym atakiem kaszlu. Płomień ogniska oświecił teraz jasno wielką jego głowę z rzadkimi białymi włosami i twarz płaską, bardzo bladą, pokrytą niebieskimi plamami. Był małego wzrostu, szyję miał niezmiernie grubą, jakby rozdętą, kolana i stopy wykręcone na zewnątrz i długie sięgające kolan ręce. Zresztą, podobnie jak koń, wydawał się wyciosanym z kamienia. Obaj stali nieruchomo w wietrze szarpiącym ich i siekącym niemiłosiernie i zdawało się, że nie czują go, nie słyszą. Gdy się wykaształ i odchrząknął należycie, splunął opodal ogniska, a na ziemi ukazała się znowu czarna plama.

– Pan długo już pracuje w kopalni? – spytał Stefan.

Bonnemort szeroko roztoczył ręce.

– Długo? Ha, pomyśl pan tylko! Miałem osiem lat, gdym pierwszy raz zjechał do kopalni Voreux, a teraz mam pięćdziesiąt osiem. Porachuj pan. Robiłem tam na dole wszystko. Naprzód byłem chłopcem do pomocy, potem przesuwaczem, potem przez osiemnaście lat hajerem³, potem z powodu tych przeklętych nóg Kompania przeznaczyła mnie do kopania ziemi, pełnienia miału, poprawek rozmaitych, aż wreszcie wyjechałem na dobre na wierzch, bo doktor powiedział, że inaczej muszę tam na dole

³ hajer (gw.) – górnik przodkowy. [przypis edytorski]

umrzeć. Już, widzisz pan, od pięciu lat jestem poganiaczem! Ha, co? Piękna to porcja, pięćdziesiąt lat pracy w kopalni, a z tego czterdzieści pięć na dole.

Wypadające od czasu do czasu z żelaznego kosza węgle, tłąc na ziemi, rzucały na jego bladą twarz purpurową łunę.

– Każą mi pensjonować⁴ się – mówił dalej. – Ale nie głupim, ho, ho, nie głupim! Wytrzymam przecie może te dwa jeszcze lata do sześćdziesiątki. Wówczas dostanę sto osiemdziesiąt franków pensji⁵. Gdybym chciał iść dziś, daliby mi z pocałowaniem ręki sto pięćdziesiąt. Ho, ho... chytre to bestie! Zresztą prócz tych przeklętych nóg zdrów jeszcze jestem i silny. Widzi pan, tam na dole dokucza bardzo woda. Wlazła mi bestia pod skórę i są dni teraz, kiedy nie mogę ruszyć nogą, bym nie krzyczał na całe gardło z bólu.

Przerwał mu nowy atak kaszlu.

– I z tego pan także kaszle? – spytał Stefan.

Ale stary pokręcił przecząco głową. Potem, gdy mógł znowu mówić, objaśnił:

– Nie, nie z tego. Zeszłego miesiąca przeziębilem się trochę. Nigdy dotąd nie kaszlałem, teraz nie mogę się tego pozbyć. I co komiczne, to to, że ciągle muszę pluć, ciągle pluć.

Odkrząknął i splunął znów czarno.

– Czy to krew? – spytał Stefan.

– Nie, to węgiel. Mam tego tyle w środku, że mógłbym do

⁴ pensjonować się – dziś: iść na emeryturę. [przypis edytorski]

⁵ pensja – tu: emerytura. [przypis edytorski]

końca życia w piecu palić. A przecież już od pięciu lat nie byłem krokiem tam na dole. Muszę mieć ładny zapas, nie ma co mówić! Ale to człowieka trzyma, ha?

Zapanowało milczenie. Z głębi kopalni dochodził głuchy tętent kujących młotów, wicher był jakąś wielką, żalobną skargę, krzyczał, że ciemno, że głód, że znużenie ciężą ziemi. Ogień w koszu żelaznym przygasał, a przy jego słabych blaskach stary ciągnął dalej.

Tak, tak, i on, i jego rodzina nie od wczoraj pracują w kopalni. Od samego początku istnienia przedsiębiorstwa, wszyscy pracowali dla Kompanii w Montsou, dawno już temu weszli w jej służbę, przed stu sześcioma laty. Dziad, Wilhelm Maheu, będąc piętnastoletnim chłopcem, odkrył pokłady węgla w Requillart. Była to pierwsza kopalnia Kompanii, dziś już opuszczona. Leży niedaleko cukrowni firmy Fauvelle. Wszyscy o tym wiedzą, a kto by nie wierzył, dowieść mu tego powinien fakt, że ku czci dziada nazwano pierwszy szacht szachtem *Wilhelma*. Bonnemort nie pamiętał go, ale opowiadano mu, że był to silny, barczysty człowiek i umarł ze starości w sześćdziesiątym roku życia. Ojciec, zwany *Rudy*, w wieku lat czterdziestu zginął w kopalni w Voreux. Wydarzyła się katastrofa, wszystko niemal zapadło się dnia jednego i bardzo dużo krwi ludzkiej wsiąkło w skały, wiele pogruchotało się kości. Dwaj wujowie i trzech bracia padli niedługo potem ofiarą, a on, Wincenty Maheu, ocalał, postradawszy tylko siłę w nogach, i to uważali wszyscy za wielkie szczęście. Ha, cóż robić? Pracować trzeba! Pracowano

też w kopalni z ojca na syna, pocieszając się tym, że w każdym zawodzie trafiają się wypadki. A oto i teraz syn jego, Toussaint Maheu, i wnuki, i bratanki pracują w kopalni. Mieszkają ot tam, w kolonii robotniczej. Ha, sto sześć lat pracy u jednego chlebowodcy, cztery pokolenia pracy, to nie igraszki, nie jeden mieszczuch nie mógłby tyle powiedzieć o swojej rodzinie.

– Tak, tak, byleby było co jeść – wymruczał Stefan znowu.

– Właśnie do tego mówię – odparł stary. – Póki jest chleb, można żyć!

Bonnemort zamilkł i zwrócił oczy na kolonię robotniczą. W oknach domów poczęły błyskać światła. Z wieży Montsou wybił zegar czwartą. Oziębilo się jeszcze bardziej.

– A czy bogata ta wasza Kompania? – spytał Stefan.

Stary podniósł w górę ramiona, a potem opuścił je znowu gestem, jak gdyby ugiął się pod ciężarem złota.

– No, naturalnie! – rzekł. – Może nie tyle ma pieniędzy, co sąsiadka w Anzin, ale posiada i tak grube miliony. Ani porachować! No bo jakże? Dziewiętnaście kopalń, z czego trzynaście w eksploatacji. Voreux, Victoire, Crèvecoeur, Mirou, Saint-Thomas, Madeleine; Feutry-Cantel i wiele innych. Dziesięć tysięcy robotników, koncesje na obszarach sześćdziesięciu gmin, dzienna produkcja pięć tysięcy ton, wreszcie kolej łącząca wszystkie kopalnie, a ile warsztatów, fabryk, ani zliczyć, ani zliczyć! Ho, ho, złota im nie brak!

Zadudniły po szynach wózki, żółty koń nastawił uszy. Winde widocznie już naprawiono, a przesuwacze wzięli się na nowo do

roboty. Starzec zaprzągnął konia do pustych wózków i gotując się do odjazdu, rzekł doń głosem miękkim:

– A próżniaku jakiś, znowu mielesz językiem, znowu wdajesz się w pogadanki. Hej, gdyby tak pan Hennebeau wiedział, na czym czas tracisz, dałby ci on!

Stefan zapatrzył się w ciemność. Nagle rzekł:

– Więc kopalnia jest własnością pana Hennebeau?

– Ale gdzie tam! – odparł stary – pan Hennebeau jest tylko generalnym dyrektorem. Opłacają go podobnie jak i nas.

Stefan wskazał ręką wokół.

– Więc czyjeż to wszystko?

Bonnemort dostał nagle takiego ataku kaszlu, że długą chwilę mówić nie mógł. Gdy się wreszcie uspokoił i otarł z ust czarną pianę, odparł, walcząc z wiatrem, który szalał teraz ze zdwojoną gwałtownością.

– Ha, czyje to? Ano nie wiadomo... ludzkie!

I ręką wskazał w ciemności, punkt jakiś, odległe niewidzialne miejsce, kędy mieszkają ci, dla których rodzina Maheuów od stu lat przeszło pracuje i życie niesie w ofierze. Głos jego drżał, przebijał w nim strach zabobonny, jak gdyby mówił o świętości, o niedostępnym przybytku, gdzie w chwale nasycenia żyje potężny Bóg, niewidzialny dla swych sług, którym zabiera życie i zdrowie, ilekroć mu się tak uczynić spodoba.

– Tak, tak, byle mieć chleb! – powtórzył po raz trzeci bez związku Stefan.

– Ha, ha, gdyby się miało codziennie chleb, byłoby dobrze...

oj dobrze!

Koń znikł w ciemnościach, a za koniem powłókł się stary inwalida, ale pomocnik nie ruszył się z miejsca. Siedział na ziemi nieruchomy, zwinięty w kłębek z brodą ukrytą między kolanami, z zagaśłym wzrokiem, w przestrzeń utkwionym.

Stefan podniósł z ziemi swe zawiniątko, ale nie ruszał się z miejsca. Czuł, że grzbiet jego odrętwiał od zimnego wiatru, podczas gdy piersi palił mu żar ogniska. A może by, myślał, mimo wszystko zwrócić się do zarządu kopalni. Stary był może źle poinformowany. Zresztą zadowoli się byle czym, przyjmie każdą pracę. Inaczej, gdzież pójdzie i co się z nim stanie w tej ogłodzonej okolicy, gdzie nie było pracy dziesięć mil wokół. Ale strach go ogarniał na myśl o tej kopalni Voreux, co w czarny całun nocy okryta leżała na pustkowiu. Wiatr dął coraz zacieklej, jakby z coraz większych szedł dali, na niebie dotąd nie ukazał się brzask, pusto było, czarno, strasznie, tylko piece i koksowe ogniska rzucały łunę, barwiąc krwawo ciemności, ale nie rozświecając tajemniczych rzeczy, co drzemały w ich toni. Kopalnia przyczajona, jak zła stwora jakaś, dyszała coraz to potężniej, jak gdyby dostała astmy, obżarłszy się zbytnio ciałami ludzkimi.

II

Kolonia robotnicza, położona wśród pól obsianych zbożem i burakami, spała dotąd. Można już było dostrzec kontury czterech grup ustawionych w rzędy domków podobnych do kasarni⁶ czy szpitali. Stały w równoległych szeregach rozdzielone szerokimi ulicami, przed każdym zaś leżał mały ogródek. Spało tam dwustu czterdziestu ludzi. W głębokiej ciszy skrzypiały tylko targane wichrem żelazne sztachety i siatki odgradzające ogródki od siebie.

Pod numerem szesnastym, w mieszkaniu rodziny Maheuów cisza panowała, ciemność nieprzebita zaległa izbę sypialną na piętrze, gdzie spało w ciasnocie mnóstwo ludzi zmęczonych śmiertelnie, ledwo mając czym oddychać. Mimo zimna panującego na świecie powietrze miało tu wysoką, dławiącą ciepłość, jaką mają wszelkie ciasne pomieszczenia napełnione ludźmi.

Kukułka zegara w izbie parterowej odezwała się cztery razy. Ale nikt się nie ruszył. Rozlegały się tylko oddechy i przyciszone chrapanie. Nagle zerwała się z łóżka Katarzyna. Z przyzwyczajenia przez sen policzyła cztery uderzenia zegara dolatujące z sąsiedztwa i podniosła się, nie mając jednak siły rozbudzić się zupełnie. Wysunęła spod kołdry nogi, poszukała zapalek i zapaliła świecę. Ale nie wstała z łóżka. Głowa jej

⁶ *kasarnia* (daw.) – koszary. [przypis edytorski]

leciała w tył, chwiała się między ramionami instynktownie usiłując opaść na poduszki.

Przy blasku świecy widać było izbę o dwu oknach. Stały w niej trzy łóżka, szafa, stół i dwa krzesła. Poczerniałe od zużycia i starości meble jaskrawo odcinały się od żółto lakierowanych ścian. Prócz tego umeblowania nie było nic. Na ścianach tylko wisiała odzież i na kuchennym przypiecku stał dzbanek obok czerwonej miski służącej za miednicę⁷. W łóżku na lewo spał najstarszy Zachariasz, chłopak dwudziestoletni, wraz ze swym jedenastoletnim bratem Jeanlinem. Na prawo leżało dwoje malców, Lenora i Henryś, objąwszy się za szyję. Dziewczynka miała sześć lat, chłopak cztery. Wreszcie trzecie łóżko zajmowała Katarzyna wraz z dziewięcioletnią Alzirą, która była na swój wiek tak mała i wątła, że gdyby nie wielki garb kaleki, który uciskał Katarzynę w nocy, byłaby nie czuła jej nawet obok siebie. Przez szklane otwarte drzwi widać było wąską sionkę, w której stało czwarte łóżko zajęte przez ojca i matkę, a obok niego kołyska z najmłodszą, dopiero trzymiesięczną Estellą.

Katarzyna siedząc na łóżku czyniła rozpaczliwe wysiłki, by się rozbudzić, przeciągała się, prostowała, zanurzała dłonie w rudych włosach, spadających jej na czoło i na kark. Była na swe piętnaście lat szczupła. Z wąskiej koszuli wysuwały się tylko sinawe, jakby plamami węgla pokryte nogi i ramiona śnieżnej białości, odcinające się wyraźnie od ziemistego koloru twarzy,

⁷ *miednica* – tu: miska do mycia. [przypis edytorski]

której skóra codziennie gryziona czarnym, ostrym mydłem pokryła się zmarszczkami i zniszczyła. Ziewnęła, ukazując w oprawie za szerokich nieco ust przepyszne białe zęby i blade, anemiczne dziąsła. Walczyła ze snem. W szarych jej oczach mających wyraz bólu i wyczerpania ukazały się łzy. Łamało się całe jej ciało, usiłując opaść na pościel.

Z łóżka rodziców rozległ się pomruk. Zakatarzonym głosem począł gderać Maheu.

– Tam do diabła! Już czas! Zapaliłaś światło, Katarzyno?

– Zapaliłam, ojciec. Wybiła właśnie czwarta.

– Prędko, prędko, śpiesz się leniu! Gdybyś była wczoraj mniej tańczyła, zbudziłabyś nas wcześniej dzisiaj. A to próżniak! – Mruczał dalej, ale sen go wnet zmorzył, słowa stawały się coraz mniej wyraźne, począł chrapać.

Dziewczyna wstała i poczęła boso, w koszuli krzątać się po izbie. Przechodząc obok łóżka malców, narzuciła na nich kołdrę, która się zsunęła. Nie zbudzili się pogrążeni w głębokim śnie. Alzira otworzyła oczy i nie wyrzekłszy ani słowa obróciła się, zajmując ciepłe jeszcze miejsce po starszej siostrze.

– Hej, Zachariaszu, i ty, Jeanlin! – zawołała Katarzyna, stojąc przy łóżku braci, którzy spali twarzami w poduszce.

Musiała wziąć starszego za ramię i trząść nim. Począł kłąć półgłosem, więc przyszło jej co innego na myśl. Jednym pociągnięciem zerwała z obu kołdrę i poczęła się śmiać na widok, jak obaj fikają niecierpliwie gołymi nogami.

– Idź, nie rób głupstw! – zawołał Zachariasz, siadając na

łóżku. – Nie lubię żartów! Psiakrew... że też wyspać się nawet nie można.

Był chudy, cienki, długi, na twarzy jego rosły kępki włosów, wyglądające jak rude plamy, i sterczał na niej duży, bezkrwisty nos. Ściągnął koszulę, która mu się aż pod brodę zsunęła, nie dlatego, by nakryć nagi brzuch, ale dlatego, że poczuł chłód.

– Wybiła czwarta! – powtarzała Katarzyna. – Dalej, wstawajcie! Ojciec będzie się gniewał!

Jeanlin zwinął się w kłębek, zamknął oczy i rzekł:

– Idź sobie... chce mi się spać!

Zaśmiała się dobrodusznie. Jeanlin był mały, członki jego o nabrzmiątych skutkiem skrofułów stawach były tak drobne, dziecięce, że objawszy go ramionami podniosła bez trudu z łóżka. Począł się wyrwać, ziemista twarz jego, na której świeciły zielone oczy, poblądła ze złości. Czuł się upokorzony, słaby. Nie rzekł nic, tylko wilczkiem ukąsił ją w prawą pierś.

– Szkaradniku jakiś! – zawołała tłumiąc okrzyk bólu, i postawiła go na ziemi.

Alzira, podciągawszy kołdrę pod samą brodę, spoglądała dokoła. Mądrymi oczyma śledziła każde poruszenie braci i siostry, ubierających się teraz. Powstał na nowo spór przy miednicy. Chłopcy szturchali dziewczynę, gdyż za długo się myła. Bez ceremonii podnosili koszule i posługiwali się nocnikiem, z obojętnością psów chowających się razem. Katarzyna ubrała się pierwsza. Wdziała spodnie robocze, kaftan płócienny, czapkę niebieską i wyglądała w tym, przy

poniedziałku jeszcze czystym ubraniu, na młodego, ładnego chłopca. Płeć jej zdradzało tylko lekkie kołysanie w biodrach, gdy chodziła.

– Będzie kontent stary, znalazłszy za powrotem zimne łóżko!
– mrucał Zachariasz ze złością. – Powiem, żeś ty to zrobiła. Pamiętaj sobie!

Miał na myśli dziadka Bonnemort, który pracował całą noc, a spał we dnie, tak że łóżko nie było nigdy puste. Ciągłe w nim ktoś chrapał.

Nie odpowiadając, Katarzyna rozpostarła kołdrę i obetkała nią siennik dokoła. Od chwili w sąsiednim mieszkaniu ruszać się poczęto. Domki robotnicze wystawiono możliwie najtaniej, mury były więc tak cienkie, że słyszać było każde słowo, każdy szelest. Rodziny trącały się przeto niejako łokciami i żaden szczegół życia nie został w ukryciu. Nawet dzieci wiedziały wszystko szczegółowo. Na schodach rozległo się ciężkie stąpanie, potem szelest, jakby ktoś kładł się na pościeli z westchnieniem ulgi.

– Aha – odezwała się Katarzyna – Levaque schodzi po schodach, a Bouteloup kładzie się na zmianę do łóżka pani Levaque.

Jeanlin zrobił złośliwą minę, a nawet oczy Alziry zabłyśły. Co rana zabawiali się historią małżeństwa we troje za ścianą u sąsiada, który był hajerem i miał robotnika ziemnego za lokatora. Żona jego miała w ten sposób dwu mężów, jednego na noc, drugiego na dzień.

– Filomena kaszle! – ciągnęła Katarzyna, dalej pod słuchując pod ścianą.

Mówiła o najstarszej córce Levaque'ów, wysokiej, dziewiętnastoletniej kochance Zachariasza, z którym miała już dwoje dzieci. Była chora na piersi. Dano jej zajęcie w sortowni, gdyż nie byłaby zniosła pracy w kopalni.

– E, co tam Filomena! Ona sobie nic z tego nie robi. Śpi do szóstej. A to dopiero próżniacze życie!

Ubrał się, poszedł do okna i tknięty nagle jakąś myślą otworzył je. Dzień wstawał. Kolonia robotnicza budziła się. W każdym oknie ukazywały się światła. Zachariasz wychylił się, sądząc, że może ujrzy, jak z domku mieszkającego naprzeciwko Pierrona wyjdzie Dansaert, zarządca kopalni. Utrzymywała się bowiem w kolonii plotka, że ów Dansaert dotrzymuje pani Pierron towarzystwa w nocy. Ale Katarzyna zauważyła, że Pierron od wczoraj zajęty jest we dnie, więc Dansaert spać musiał u siebie. I poczęli się kłócić, gdyż każde upierało się przy swoim. Lodowate powietrze wdzierало się tymczasem do izby, ale nie czuli tego rozgrzani rozterką słowną. Dopiero krzyk Estelli, która się zbudziła skutkiem zimna, przypomniał im otwarte okno.

Maheu zerwał się nagle z pościeli. Cóż to mu się znowu stało? Znowu zasnął jak ostatni nicpoń. Począł kląć tak dosadnie, że dzieci umilkły, nie śmiejąc ust otworzyć. Zachariasz i Jeanlin kończyli się myć. Ruszali się przy tym powoli, jak gdyby nigdy nie mieli skończyć. Alzira wciąż patrzyła dokoła wielkimi, mądrymi oczyma. Tylko Lenora i Henryś spali dalej

we wzajemnych uściskach i oddychali równo, nie słysząc wcale zgietku.

– Katarzyno, podaj mi świecę! – zawołał Maheu.

Zapięła kaftanik i zaniósła ojcu świecę. Bracia mogli skończyć się ubierać przy świetle wpadającym przez szklane drzwi. Ojciec wyskoczył z łóżka. Katarzyna jeszcze bez trzewików, w grubych wełnianych pończochach, zeszła po omacku do drugiej izby na dole i zapaliła świecę. Poczęła przyrządzać śniadanie. Saboty całej rodziny leżały tutaj pod szafarnią⁸.

– Stulisz ty głębę, bębnie! – wrzasnął Maheu rozwścieczony ustawicznym krzykiem Estelli.

Małego wzrostu, jak stary Bonnemort, podobny był doń zresztą zupełnie. Taką samą miał wielką głowę, płaską ziemistą twarz i żółte, krótko ostrzyżone włosy. Dziecko przerażone wielkim muskularnym ramieniem, które ujrzało ponad sobą, krzyczało jeszcze mocniej.

– Daj jej spokój! Wiesz, że to na nic! – odezwała się jego żona i rozłożyła się na środku łóżka.

Zbudziła się od chwili i poczęła narzekać, że nigdy nie dadzą jej się wyspać. Czyż nie mogą wstać cicho i iść do roboty? Zatonała cała pod kołdrą i widać było tylko jej twarz o grubych rysach. Musiała być niegdyś piękna, ale dziś ta trzydziestodwuletnia kobieta skutkiem długich lat niedostatku i siedmiorga dzieci była ruiną.

Z oczyma utkwionymi w sufit mówiła do ubierającego się

⁸ *szafarnia* – tu: spiżarka; szafka na jedzenie. [przypis edytorski]

męża. Żadne zresztą nie zwracało uwagi na małą, siniejącą od krzyku.

– Wiesz – mówiła pani Maheu – że nie ma w domu ni grosza, a dziś dopiero poniedziałek. Sześć dni jeszcze do wypłaty dwutygodniowej. Tak iść dalej nie może. Wszyscy razem przynosicie do domu dziewięć franków. Jakże ma to wystarczyć? Przecież nas jest dziesięcioro?

– O – zawołał Maheu – jak to? Dziewięć franków? Ja i Zachariasz po trzy, to znaczy sześć, Katarzyna i ojciec po dwa, to jest cztery... sześć i cztery to dziesięć, a Jeanlin franka, to razem czyni jedenaście!

– Tak, jedenaście, ale nie liczysz świąt i niedziel. Nigdy nie dostaję więcej jak dziewięć... rozumiesz?

Nie odpowiadał, zajęty szukaniem po ziemi swego skórzanego paska.

Po chwili wyprostował się i rzekł:

– No, no, nie trzeba się skarżyć. Jestem jeszcze zdrowszy i silniejszy. Niejeden, co ma jak ja czterdzieści dwa lata, ruszać już nie może nogami.

– Rozumie się, mój stary – odparła żona – ale to nam nie przysporzy chleba... No powiedz, co mam począć... Może ty masz jeszcze co pieniędzy?

– Mam dwa sous.

– Schowaj je sobie na szklanę piwa! Mój Boże, co ja pocznę? Sześć dni jeszcze, to okropność. Maigrat pokazał mi wczoraj drzwi, winniśmy mu już sześćdziesiąt franków. Ha, cóż robić,

pójdę do niego jeszcze raz, ale jeśli się uprze i odmówi nam kredytu?

I skarżyła się dalej nie ruszając się z pościeli, przymykając tylko chwilowo oczy, gdyż ją raziło światło. Opowiadała szeroko o pustej szafarni⁹, o tym, że malcy domagają się podwieczorku, że kaszy już nawet nie ma w domu, że z wody tutejszej dostają ludzie kolek, że wreszcie chyba przez te sześć dni żyć będą chyba liśćmi kapusty gotowanymi w wodzie. Musiała podnieść głos, gdyż krzyk Estelki głużył jej słowa. Krzyk ten stał się wreszcie niemożliwym do zniesienia. Maheu rozwścieklony porwał dziecko z kołyski, rzucił je na łóżko i wrzasnął wściekły:

– Weź ją, bo chyba zabiję gadzinę! Przeklęty bęben! Nic temu nie brak, może ssać, a drze się głośniej od innych.

Estelka szukała też już piersi matczynej. Gdy ją matka wzięta pod kołdrę, uspokoiła się zaraz i słychać było już tylko mlaskanie chciwych pokarmu warg.

– Pamiętasz przecież, że właściciele Piolaine kazali ci przyjść! – począł ojciec po krótkim milczeniu.

– Tak, spotkałam ich. Rozdają biednym dzieciom suknie. Zrobiła gest niechęci i zwątpienia.

– Zresztą zaprowadzę tam dziś Lenorę i Henrysia. Ach, gdyby mi tak dali pięć franków!

Znowu zapanowało milczenie. Maheu skończył się ubierać. Chwilę stał bez ruchu, potem zakończył rozmowę.

– Ha, cóż chcesz... inaczej być widać nie może. Trzeba się z

⁹ szafarnia – tu: spiżarnia. [przypis edytorski]

tym pogodzić. I na cóż się zresztą przyda gadanie... lepiej pójde do roboty.

– Pewnie – odparła żona. – Zgaś tylko świecę, nie potrzebuję przecież wiedzieć, jakiego koloru są moje myśli.

Zgasił świecę i poszedł za Zachariaszem i Jeanlinem na dół.

Schody zatrzęsły się pod ich nogami, ubranymi w grube, wełniane pończochy. Izba górna pograżyła się znów w ciemności. Dzieci spały... nawet Alziry powieki zamknęły się, tylko matka leżała w ciemności z oczyma utkwionymi w powałę i rozmyślała, podczas gdy Estelka ssała jej zwiędłą, wiotką pierś mruczając jak kocię.

Na dole Katarzyna gotowała śniadanie. Na blasze małej kuchenki tlały bez przerwy na żelaznym ruszcie węgle. Kompania wydzielala co miesiąca dla każdej rodziny osiem hektolitrów nieużytków węgla. Twarde węgle nie chciały się palić, więc dziewczyna nie gasiła ognia na wieczór, ale przykrywała go, by rano rozniecić dodając parę kawałków dobrego węgla. Postawiwszy na ruszcie sagan z wodą, otwarła szafarnie.

Izba dolna była dość obszerna, zajmowała bowiem całą szerokość domu. Ściany były malowane jasnozielono, podłoga czysto wymyta, posypana piaskiem. Panowała tu iście holenderska czystość. Prócz szafarni z lakierowanej jedliny stał tu jeszcze stół i kilka krzeseł. Na ścianach widniały jaskrawe obrazki. Były to dane przez Kompanię portrety cesarza i cesarzowej, ryciny przedstawiające żołnierzy i świętych w

obficie złożonych obwódkach, odcinające się ostro od nagich ścian. Izbę zdobił tylko zegar z kukułką jaskrawo malowany, którego tykot rozlegał się ciągle, oraz różowe pudełko stojące na szafarni. Obok drzwi wiodących do sypialni na górę były drzwi do piwnicy. Mimo wzorowego porządku w powietrzu czuć było duszący odór cebuli oraz zaduch z węgla.

Katarzyna zamyśliła się przed otwartą szafarnią. Była tam już tylko resztką chleba i spory kawałek sera. Ale masła nie było więcej jak na jedną kromkę. A trzeba było zrobić dla wszystkich czworga *kanapki*. Wreszcie wzięła nóż, ukroiła kromkę, położyła na niej ser, potem ukroiła drugą, pociągnęła ją odrobiną masła i zlepiła razem. Była to *kanapka*, jaką każdy robotnik brał ze sobą rano do kopalni. Niebawem na stole leżały wszystkie cztery, począwszy od wielkiej dla ojca, skończywszy na małej dla Jeanlina, ukrojone najsprawiedliwiej w świecie.

Mimo że była bardzo zajęta swą robotą, nie zapomniała widać historii o nadzorcy i pani Pierron, o której mówił Zachariasz, gdyż uchyliła drzwi wejściowych i wyjrzała ciekawie.

Wiatr dął lodowaty. W każdym domu kolonii robotniczej błyszczały światła i dolatywał szmer budzących się do pracy ludzi. Tu i ówdzie drzwi się otwierały i czarne szeregi robotników snuły się już po ulicach, ginąc w mrocznej jeszcze dali. Przyszło jej na myśl, że daremnie naraża się na przeziębienie, bo nakładacz Pierron śpi sobie najspokojniej, gdyż dopiero o szóstej wstać ma do roboty. Mimo to jednak stała, spoglądając po kolei na domy. Jakieś drzwi się otwarły... właśnie

u Pierronów... zaczerwieniła się z ciekawości. Ale to nie był Dansaert, tylko mała Lidia idąca do kopalni.

Syk wody przyskającej na węgle przypomniawszy jej o śniadaniu. Zamknęła drzwi i podbiegła do kuchni, gdzie woda z sagana rozlewała się na ogień, gasząc go. Nie było w domu kawy, musiała więc zalać wodą wczorajsze fusy. Osłodziła potem tę kawę nędznym, żółtym cukrem i w tejże chwili weszli do izby bracia i ojciec.

– Psiakrew! – zaklął Maheu powąchawszy swą kawę. – Nie ma się co obawiać, by nas z tego miała głowa rozboleć.

Wzruszył z rezygnacją ramionami i rzekł:

– Ha, przynajmniej gorące... i to coś warte!

Jeanlin pozgarniał okruszki chleba, wsypał sobie do kawy, robiąc z niej w ten sposób rodzaj zupy. Katarzyna, skończywszy swą porcję, resztę kawy zlała do blaszanych manierek. Wszyscy czworo jedli i pili szybko przy migotliwym świetle kopcającej świecy.

– No, wreszcie jesteśmy gotowi! – zawołał ojciec. – Wcale dobre... wcale... najedliśmy się niby rentierzy.

Wtem z górnej izby, od której drzwi nie zamknięto, rozległ się głos matki:

– Weźcie resztę chleba ze sobą... mam dla dzieci trochę klusek.

– Dobrze, dobrze! – odparła Katarzyna.

Przykryła na nowo ogień i postawiła na ruszcie resztę wczorajszej zupy dla dziadka, gdy wróci do domu o szóstej.

Wszyscy włożyli saboty, zarzucili manierki z kawą na plecy i powkładali swe *kanapki* między koszule a kaftany. Każde miało teraz na plecach mały garb z chleba. Wyszli, mężczyźni naprzód, dziewczyna za nimi, zgasiwszy po drodze świecę i przekręciwszy klucz w zamku. W domu zapanowały znów ciemności i cisza.

– Ha, ha, ha, znowu wychodzimy razem! – zaśmiał się ktoś zamykający drzwi sąsiedniego domu.

Był to Levaque idący do roboty wraz z synem Bébertem, wielkim przyjacielem Jeanlina. Katarzyna zdziwiona stłumiła śmiech i szepnęła Zachariaszowi do ucha:

– A to wyśmienite! Więc Bouteloup nie czeka nawet na odejście Levaque'a, by wleźć do łóżka jego żony!

Światła w kolonii pogasły. Zamknęły się ostatnie drzwi i za chwilę znowu w izbach spały dzieci i kobiety w wygodniejszych teraz, obszerniejszych łóżkach. A drogami wiodącymi do kopalni snuły się szeregi cieniów. Wiatr dął z wściekłością, szarpiąc kaftanami idących do pracy robotników. Szli z rękami założonymi na piersiach, drżąc z zimna, a na plecach każdego sterczała *kanapka*. Ale smagani lodowatym wiatrem nie przyśpieszali kroku. Obojętni, pochyleni tłoczyli się po drogach niby wielki tabun bydła pędzony kędyś daleko.

III

Stefan zstąpił ze wzgórza i wszedł na terytorium kopalni. Ludzie, których się pytał o pracę, kręcili głowami i mówili, by czekał na przybycie dozorca. Błąkał się więc pomiędzy budynkami. Były słabo oświetlone, mimo to jednak dostrzegł mnóstwo otworów czarnych, wielkich drzwi wiodących do labiryntu krużganków, sal, pięt. Wszedł na jakieś chwiejące się współprzegniłe schody i dostał się na wąską ścieżkę z desek. Przeszedł przez sortownię, tak dotąd ciemne, że musiał wyciągnąć przed siebie ręce, by się o coś nie uderzyć. Nagle w ciemności zabłysła para ogromnych żółtych oczu i Stefan znalazł się pod wieżą szachtu, w hali kontrolnej u samego wejścia do kopalni.

Dozorca, ojciec Richomme, grubas o wyglądzie dobrotliwego żandarma, z siwym wąsem, zbliżył się właśnie do biura kontrolera.

– Może potrzeba robotnika... do jakiegokolwiek roboty! – odezwał się Stefan.

Richomme chciał powiedzieć: nie – ale namyślił się i nie zatrzymując się rzekł jak inni:

– Proszę poczekać na pana Dansaerta, starszego nadzorcę.

Świeciły tu cztery latarnie, których potężne reflektory całe światło kierowały na wejście do kopalni. W ich blasku ostro odcinały się kontury żelaznych ramp, dźwigni sygnałowych,

zasuw i bierwion dębowych stanowiących rusztowanie, wśród którego ślizgały się klatki windy, zapadając i ukazując się znowu nad ziemią. Reszta olbrzymiej budowli, podobnej do nawy kościoła, ciemna była, ale wypełniały ją ruchome cienie. W głębi błyszczał magazyn lamp, w biurze zaś kontrolera paliła się żółta mała lampka podobna do gasnącej gwiazdy. Zjazd rozpoczął się właśnie, a żelazna podłoga budynku tętniła ciągle krokami ludzkimi i trzęsa się pod kołami wózków, za którymi biegli przesuwacze pochyleni tak, że tylko ich pośladki dostrzec było można w ruchliwym chaosie cieniów.

Przez chwilę Stefan stał nieruchomy, olśniony, odurzony. Czuł, że drętwieje, gdyż lodowate powietrze płynęło tu ze wszystkich stron.

Potem pociągnął go widok maszyny, której stalowe i mosiężne członki połyskiwały jak złoto i srebro. Stała wyżej trochę, może ze dwadzieścia metrów nad poziomem hali w głębi zjazdu i spoczywała tak mocno na swoim kamiennym fundamencie, że, mimo iż szła pełną parą, pracując siłą swych czterystu koni parowych, nie trzęsły się mury budynku przy wznoszeniu się i opadaniu jej olbrzymich dźwigni. Maszynista stał z ręką na korbie, zasłuchany w dźwięk dzwonka sygnałowego, z oczyma utkwionymi w indyktor, na którym wyrysowana była kopalnia z wszystkimi swoimi piętrami. Wisiały na nim na nitkach kawałki ołowiu i poruszały się w górę i na dół, obrazując w ten sposób ruch samej windy. Za każdym zjazdem i wyjazdem obracały się potężne pięciometrowe koła, na których osi osadzone były grube

walce. Na walce te nawijała się lina stalowa i rozwijała znowu z taką szybkością, że wydawała się oczom szarym pyłem.

– Baczność! Na bok! – krzyknęło Stefanowi za uchem trzech robotników dźwigających olbrzymią drabinę.

Mało go nie rozgnietli. Powoli jednak oczy jego oswoiły się z półmrokiem i ujrzał, jak długie, trzydziestometrowe liny snuły się w górę wieży, przepływały na walce, by po drugiej stronie zanurzyć się pod ziemię z klatkami napelnionymi ludźmi. Walce spoczywały na potężnym rusztowaniu żelaznym, podobnym do wiązania dzwonnicy. Śmiało, pewnie, odbywały się te ruchy jak lot ptaka, gładko bez najmniejszego wstrząśnienia, przeszkody. Jak strzała mknęła tam i nazad olbrzymia lina, robiąc do dziesięciu metrów w sekundzie i dźwigając przeszło dwanaście tysięcy kilogramów.

– Baczność! Do wszystkich diabłów! Na bok! – krzyknęli znowu robotnicy, przenoszący drabinę na drugą stronę, by zbadać walce po lewej.

Stefan wolnym krokiem zawrócił do biura kontrolnego. Ten zgiełk i zawrotny ruch ponad głową przelatujących lin oszałamiał go. Drżąc z zimna, znużonym wzrokiem spoglądał na znikające i wynurzające się z ciemności klatki, a uszy rozdierał mu huk przelatujących wózków.

U wylotu szachtu funkcjonował sygnał, ciężki młot osadzony na dźwigni poruszanej liną z dołu. Gdy raz opadł z przeraźliwym dźwiękiem na kowadło, znaczyło to: Stać! Gdy dwa razy: Jazda w dół! Trzy razy wreszcie: Do góry. Były to jakby uderzenia

maczug, połączone z przeraźliwym dźwiękiem głuszącym cały ziełk. Jakby jeszcze tego było mało, robotnik stojący przy sygnale przez tubę krzyczał do maszynisty podając mu rozkazy. Wśród tego hałasu zapadały i ukazywały się klatki, opróżniały się i napełniały z taką szybkością, że Stefan nie mógł sobie zdać sprawy z całej tej manipulacji.

Jedno tylko pojał. Oto kopalnia pochłaniała ludzi, po dwudziestu, trzydziestu na jeden łyk i to z taką łatwością, jakby nie czuła tej porcji. Od czwartej poczał się zjazd robotników. Schodzili się pojedynczo z lampkami w rękę i w małych grupkach oczekiwali, aż zbierze się dostateczna liczba. Cicho, jak zwierz nocny zjawiała się klatka czteropiętrowa, zahaczała się żelaznymi pazurami, z każdego przedziału wyciągano po dwa wózki napełnione, w ich miejsce zataczając próżne lub napełnione klockami drzewa. W próżne wózki wsiadali górnicy po pięciu w każdy, tak że klatka mieściła czterdziestu. Rozległa się komenda, potem głuchy, niewyraźny pomruk, młot opadał cztery razy, co oznaczało: *Materiał ludzki*, którego przybycie sygnalizowano na dół, klatka zapadała, jak kamień w wodzie ginąc, a tylko lekkie drżenie liny wskazywało, gdzie znikła.

– Czy tu głęboko? – spytał Stefan jakiegoś górnika, który na pół zaspany stał obok niego.

– Pięćset pięćdziesiąt cztery metry! – odpowiedział. – Ale są cztery piętra, pierwsze na głębokości trzystu dwudziestu metrów.

Zamilkli obaj i utkwili oczy w linę. Niebawem ukazała się klatka.

Stefan spytał jeszcze:

– A gdyby się lina urwała?

– A... gdyby się urwała...

Górnik dokończył wymownym gestem i podszedł do klatki, gdyż przyszła nań kolej. Usiadł wraz z kilku innymi w pustym wózku i zniknął. Za małą chwilę, niespełna cztery minuty, klatka wróciła po nowy ładunek *materiału ludzkiego*.

I przez pół godziny kopalnia pochłaniała istoty ludzkie z mniejszą lub większą żarłocznością, stosownie do głębokości, w jakiej mieli pracować, ale nie ustawała ani na chwilę ciągle głodna, nie mogąc napęścić olbrzymiego żołądka, gotowa całe plemię pożreć. Ludzie napływali ciągle i znikali w cichym łonie ziemi, a klatka wracała ciągle cicho, jak zwierz, którego żarłoczność nie ma granic.

Stefan doznał znowu niemiłego uczucia, jakie go opanowało już tam na wzgórzu. I na cóż czekać? Starszy nadzorca powie mu niewątpliwie to samo, co wszyscy. Niewytłumaczona trwoga doprowadziła go do tego postanowienia. Poszedł. Ale przed halą maszyn zatrzymał się znowu. Przez otwarte drzwi ujrzał tam siedem kotłów parowych i dwa ogromne piece. W obłokach białej, syczącej pary pracowali ludzie. Jeden z nich dosypywał do pieca węgla. Gorąco buchało stamtąd takie, że odczuł żar stojąc na progu. Owiany miłym ciepłem chciał już wejść do środka, gdy dostrzegł grupę górników zbliżających się do kopalni. Był to Maheu ze swoimi i Levaque. Stefan ujrzał na czele idącą Katarzynę i na widok jej łagodnej chłopięcej twarzy przyszło mu

na myśl, by ją zapytać o robotę.

– Powiedz no bracie... nie potrzeba tu robotnika? Do jakiegokolwiek pracy... ha?

Spojrzała nań, przerażona nieco tym pytaniem wychodzącym z ciemności. Ale Maheu idący za nią dosłyszał. Odpowiedział, przystanął i wdał się z obcym w krótką rozmowę. Niestety pracy tu nie było. Ale tułający się po świecie, bezdomny robotnik wzbudził w nim sympatię. Rozłączywszy się z nim rzekł do swoich:

– Widzicie... nie trzeba narzekać... temu biedakowi jeszcze gorzej, nie ma dość pracy nawet dla tych, którzy by pragnęli zapracować się na śmierć.

Gromadka skierowała się prosto do ogrzewalni, obszernej sali ze ścianami z grubsza tylko otynkowanymi, gdzie stały szafy z narzędziami i materiałami zamknięte na kłódki. Pośrodku sali stał otwarty na wszystkie strony piec tak naładowany rozżarzonym węglem, że kawałki jego z trzaskiem wypadały na udeptaną ziemię podłogi. Salę oświecał tylko ten piec siejący czerwoną łunę po ścianach, powale i brudnych szafach pokrytych czarną sadzą.

W chwili, gdy wszedł Maheu ze swoimi, dokoła pieca rozlegał się głośny śmiech. Około trzydziestu górników stało plecami do ognia, z lubością smażąc sobie kości. Schodzili się tutaj przed zjazdem, by nasycić się ciepłem i zabrać go nieco z sobą do zimnej, wilgotnej kopalni. Właśnie śmiano się

z Mouquette¹⁰, małej osiemnastoletniej przesuwaczki, dobrej zresztą dziewczyny, której tłuste pośladki i piersi rozpierały kaftan i spodnie górnicze tak, iż zdawało się, że lada chwila pękną. Mieszkała w Requillart wraz z ojcem, starym stajennym Mouque'em i bratem, który był też przesuwaczem. Ale sama zawsze szła do kopalni, ojciec i brat pracowali w innych godzinach. W porze letniej w pszenicy, w zimie gdzieś pod szopą zabawiała się z jednym z licznych kochanków, których zmieniała co tydzień. Cała kopalnia przeszła przez jej ręce, wszyscy ją posiadali i opuszczali bez dalszych ceregieli. Gdy ją pewnego dnia prześladowano jakimś robotnikiem z fabryki gwoździ z Marchiennes, rozgniewała się na dobre i krzyczała w pasji, że to posądzenie jej ubliża, że da sobie ramię odciąć, gdyby jej udowodniono, że wdaje się z kim innym prócz górników.

Właśnie dziś droczono się z nią.

– Więc już koniec z Chavalem? – mówił jeden robotnik. – Wzięłaś sobie dla odmiany tego małego. Ależ on musi chyba wyłazić na drabinę!.... Widziałem was pod Requillart i mogę przysięgać, że wlaź na kamień...

– No i cóż z tego? – odparła wesoło Mouquette. – Cóż cię to obchodzi? Czym cię prosiła, byś popychał?

Śmiech zahuczał potężny. Robotnicy śmiali się, trzymając się za brzuchy. Śmiała się też i Mouquette wyglądająca bardzo nieprzyzwoicie i prowokująco w swym ciasnym ubraniu, z

¹⁰ *Mouquette* – córka pana Mouque; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca. [przypis edytorski]

którego wypływać zdawały się piersi i pośladki. Była ona chorobliwie niemal tłusta.

Ale śmiech ustał, gdy Mouquette zawiadomiła ojca Maheu, że wielka Florka nie przyjdzie. Znaleziono ją wczoraj w łóżku zmarłą i skostniałą już. Jedni twierdzili, że to nastąpiło skutkiem wady serca, inni zaś, że zmarła z powodu, iż zbyt szybko wypila litr jałowcówki. Maheu był zrozpaczony. Prawdziwe nieszczęście. Stracił przesuwaczkę, a nie było pod ręką zastępczyni. Pracował na akord wraz z trzema hajerami, Zachariaszem, Levaque'iem i Chavalem. Cóż teraz będzie? Sama Katarzyna przesuwaniu nie podoła i zarobek się zmniejszy. Nagle zawołał:

– Mam już! Biegnij no po człowieka, który pytał o robotę.

Właśnie przechodził Dansaert koło ogrzewalni. Maheu powiedział mu, co się stało, i prosił o pozwolenie wzięcia do roboty nieznajomego, wskazując na to, że Kompania i tak dążyła do zastąpienia przesuwaczek chłopcami, w ślad za swą konkurentką w Anzin. Starszy nadzorca uśmiechnął się, gdyż myśl wykluczenia dziewcząt była dotychczas niechętnie przyjmowana przez górników, którym zależało, by ich córki zarabiały w kopalni, bez względu, jakie to miało skutki pod względem moralnym i higienicznym. Po krótkim wahaniu dał swe przyzwolenie, zastrzegając sobie jednak, że przyjęcie zależy jeszcze od potwierdzenia pana inżyniera Négrela.

– Ale co tam z tego! – zauważył Zachariasz. – Człowiek ten musi już być daleko stąd. Odszedł przed dobrą chwilą!

– Nie – odezwała się Katarzyna – widziałam, jak zatrzymał się obok kotłowni.

– To leć, próżniaczko... a prędko! – krzyknął ojciec.

Wybiegła, a tymczasem górnicy opuścili ogrzewalnię, robiąc miejsce innym. Jeanlin, nie czekając na ojca, wziął swą lampę i spuścił się na dół wraz z Bébertem i małą, słabowitą, dziesięcioletnią Lidią. Niebawem rozległ się głos Mouquette, która wymyślała z klatki chłopcom i groziła, że każdemu da w twarz, jeśli nie przestaną jej szczypać.

Katarzyna nie omyliła się. Stefan stał jeszcze u drzwi kotłowni i rozmawiał z palaczami. Czuł teraz dreszcz na samą myśl, że będzie musiał iść znowu precz i błąkać się po świecie w taki czas. Mimo to zabierał się już, gdy nagle uczuł czyjaś rękę na ramieniu.

– Chodź pan! – rzekła dziewczyna. – Znalazło się miejsce dla pana!

Zrazu nie zrozumiał. Potem radość jego objawiła się wybuchem wdzięczności i ścisnął mocno dziewczynie rękę.

– Dziękuję ci, bracie... Dziękuję!... Dobry z ciebie chłopak.

Poczęła się śmiać, spoglądając na jego twarz zaczerwienioną od blasku ognisk kotłowni. Śmieszyło ją, że ją bierze za chłopca, zwiedziony dziewczęcą jeszcze piersią i ukrytymi pod czapką włosami. Stefan uradowany śmiał się także i stali przez chwilę oboje, spoglądając życzliwie na siebie.

Tymczasem Maheu kucnął przed szafą, zdjął saboty i wełniane pończochy. Gdy Stefan przyszedł, załatwiono sprawę

w dwu słowach. Dostanie półtora franka dziennie, a choć praca jest wyczerpująca, to za to prędko się wyuczy wszystkiego co potrzeba. Stary hajer radził mu nie zdejmować butów, które miał na nogach, i pożyczył mu swej starej skórzanej czapki dla ochrony głowy od uderzeń o skały, bez czego on sam i jego towarzysze obchodzili się już teraz doskonale. Wyjęto narzędzia z szafy, w której znalazła się też i łopata Florki. Maheu, zamknąwszy w szafie swe saboty, pończochy i zawiniątko Stefana, począł się niecierpliwić.

– Cóż robi znowu ten gałgan Chaval? Znowu gdzieś gzi się pewnie z jakąś dziewczyną! Już pół godziny spóźnienia!

Zachariasz i Levaque grzali się spokojnie u ognia. Wreszcie Zachariasz rzekł:

– Czekasz, ojczy, na Chawala?... Ależ on przyszedł jeszcze przed nami i zaraz zjechał na dół!

– Jak to? Wiesz o tym i nic nie mówisz? Dalej... prędko... śpieszmy się... a to straszne rzeczy!...

Katarzyna grzejąca sobie ręce musiała się też zabierać razem z nimi. Stefan puścił ją przodem i szedł z tyłu.

Zanurzyli się znów w labirynt schodów i ciemnych korytarzy, gdzie stapanie ich bosych nóg rozlegało się donośnie, podobne do kłapania po błocie starych rozdeptanych kaloszy. Wreszcie zabłysnęła przed nimi lampiarnia, wielka sala o szklanych ścianach, w której na stelarzach stały setki lamp górniczych systemu Davy'ego. Poprzedniego wieczoru oczyszczono i zbadano je dokładnie. Teraz świeciły się wszystkie, niby

świecie przy katafalku. U wejścia dostawał każdy górnik swoją, opatrzoną jego numerem, oglądał ją i zamykał sam, podczas gdy siedzący przy stole kontroler zapisywał godzinę zjazdu do osobnego rejestru. Maheu wystarał się dla swego nowego pomocnika o lampę. Potem odbyła się jeszcze jedna ceremonia. Górnicy defilowali znowu przed innym kontrolerem, który badał, czy wszystkie lampy są należycie zamknięte.

– Brr! Jak tu zimno! – rzekła Katarzyna, drżąc na całym ciele.

Stefan skinął głową i nie odezwał się wcale. Znaleźli się teraz u zjazdu. Dał tutaj wiatr silny i lodowaty. Stefanowi ścisnęło się gardło, gdy stanął znowu wobec kręcących się walców i przebiegających z zawrotną chyżością lin. Ogłuszony turkotem pędzących po szynach wózków, przerażliwymi uderzeniami sygnałowego młota, wrzaskiem tuby, spoglądał z przestachem na znikające i pojawiające się klatki, które w nienasyconą gardziel kopalni ciskały ludzi całymi kupami. A maszyna szła ciągle całą parą. Gdy przyszła nań kolej, był na pół tylko przytomny. Drżał na całym ciele z zimna, ale milczał nerwowo, tak że aż Zachariasz i Levaque poczęli z niego drwić. Obaj byli niezadowoleni z przyjęcia obcego, zwłaszcza Levaque zły był, że go stary Maheu nie spytał o zdanie. Ale Katarzyna cieszyła się słysząc, jak ojciec objaśniał Stefana.

– Widzi pan – mówił – ponad klatką jest spadochron... ot te żelazne klamry. Gdy się lina urywa, wbijają się w bierwona¹¹ szachtu. To działa... zwykle... ale nie zawsze... o, nie zawsze.

¹¹ *bierwono* – tu: belka. [przypis edytorski]

Tak... tak... szacht podzielony jest na trzy piętra i od dołu do góry obity deskami. Pośrodku idzie winda, z boku schody.

Urwał i począł mruczeć, ale nie śmiał podnieść głosu.

– Psia krew! Czyż będziemy tu nocowali? To łajdactwo kazać tak marznąć ludziom.

Dozorca Richomme, który też zjeżdżać miał, stał obok z lampą zawieszoną u czapki. Usłyszał słowa ojca Maheu i rzekł cicho, dobrotliwym głosem:

– Uważaj no, stary, i stul gębę. Gotów kto usłyszeć.

Był on dawniej hajerem i utrzymywał przyjacielskie stosunki z dawnymi kolegami, o ile tylko pozwalała na to nowa godność.

– Widzisz – dodał – wszystko ma swój czas... Oto i twoje pudło! Właż ze swą czeredą!

Klatka otoczona poręczą żelazną i gęsto okratowana czekała już oparta na hakach.

Maheu, Zachariasz, Levaque i Katarzyna weszli w jeden z dolnych wózków, a że miejsce przeznaczone było na pięć osób, wszedł więc też i Stefan. Lepsze miejsca były już zajęte, więc musiał się wcisnąć w kąt obok Katarzyny, której łokieć począł go gniesć. Zawadzała mu też lampa. Górnicy radzili, by ją zawiesił u guzika kaftana, ale nie dosłyszał i trzymał ją dalej niezgrabnie w rękę. Wsiadano dalej. Tłoczyli się ludzie w przedziałach pod i nad nimi, jak by było wpędzone do wagonu. Klatka nie ruszyła się z miejsca. Cóż się stało? Zdawało mu się, że długą już chwilę czeka. Nagle uczuł wstrząśnienie, i wszystko stało się czarne. Znikły otaczające przedmioty i uczuł, że wpada

w przepaść. Zadrżał na całym ciele i doznał zawrotu głowy. Trwało to tak długo, jak długo mijając pierwsze dwa piętra hali zjazdowej dostrzegał w przyćmionym świetle zawrotny ruch desek okrywających boki studni, ale gdy wpadł w ciemność szachtu, stracił możliwość kontrolowania swych wrażeń i stał na pół przytomny z oczyma wytrzeszczonymi.

– Teraz zjeżdżamy w dół! – odezwał się Maheu spokojnym głosem.

Żadne z nich nie doznawało przykrego uczucia spadku, ale Stefan stracił kierunek i pytał się siebie samego, czy spada, czy się wznosi w górę. Gdy klatka nie dotykając ścian pędziła na dół, zdawało się, że wisi bez ruchu. Ale za chwilę uderzała o boki i drżenie ich udzielało się wiązaniu, klatce i zamkniętym w niej ludziom, napawając ich nerwowym strachem katastrofy. Pęd wzmógł się teraz tak, że Stefan nie mógł już dostrzec tragarzy¹² i poprzecznic rusztowania poprzez gęstą siatkę ochronną, choć przyciskał do niej twarz rozgorączkowaną. Lampy mdło oświecały ściśnionych, tylko otwarta lampa dozorczy w górnym wozie błyszczała jak latarnia morska.

– Ten szacht ma cztery metry średnicy – objaśniał dalej Maheu. – Właściwie Kompania powinnaby odnowić szalowanie, gdyż woda wciska się tutaj ze wszystkich stron... O, słyszy pan... teraz.... Właśnie zeszliśmy na linię wodną.

Od chwili już Stefan zadawał sobie pytanie, co to za szelest

¹² *tragarz* – tu: belka, na której opierają się inne elementy konstrukcji. [przypis edytorski]

podobny do szelestu deszczu po dachu. Kilka grubych kropli padło mu na czoło, teraz poczęła po dachu bębnić ulewa, której siła szybko wzrastała, jak podczas oberwania chmury. Dach klatki był snadź dobrze dziurawy, gdyż deszcz począł lać się kilku cienkimi strumieniami. Jeden z nich w krótkim czasie przemoczył mu ubranie na ramieniu i przejął dreszczem. Zimno się teraz zrobiło i jeszcze straszniej. Nagle błyskawica przedarła noc oślepiając Stefana. Wydawało się, że pękła ziemia, a przez otwór błysło piekło. Na tle jasności dostrzegł jakieś kształty, sylwetki ludzkie, ale za sekundę wszystko znów pograżyło się w ciemnościach.

– To jest pierwsze piętro! – objaśnił Maheu. Jesteśmy teraz na głębokości trzystu dwudziestu metrów. Widzi pan, jak to prędko idzie...

I podnosząc swą lampę, oświecił jedną z prostopadłych belek dębowych, która mknęła z szybkością szyny pod kołami pociągu pośpiesznego. Dwa następne piętra błysły i znikły. Ulewa szalała dalej wśród nieprzebitych ciemności.

– Jakaż to głębina – mruknął Stefan.

Zdawało mu się, że od kilku już godzin spada w głąb. Niewygodnie mu było bardzo w pozycji, którą przybrał. Zwłaszcza łokieć Katarzyny sprawiał mu męki straszliwe. Nie odzywała się i Stefan czuł tylko ciepło jej ciała, które obejmowało go gorącą falą. Gdy wreszcie winda stanęła w głębokości pięciuset pięćdziesięciu czterech metrów, zdumiał się, usłyszawszy, że zjazd trwał dokładnie jedną minutę. Ale

łaskot haków bezpieczeństwa wbijających się w drzewo i uczucie, że stąpa po twardej ziemi, wprawiły go w wesołe usposobienie i poufale odezwał się do Katarzyny:

– Cóż to masz pod skórą, że od ciebie taki żar bucha? Aleś mi łokciem wywiercił potężną dziurę w brzuchu.

Roześmiała się wesoło. Ten głuptas brał ją ciągle jeszcze za chłopca. Czyż miał bielmo na oczach?

– W oczach masz mój łokieć, nie w brzuchu! – odparła. Wywołało to wybuch śmiechu, którego sobie Stefan w żaden sposób wytłumaczyć nie mógł.

Klatka opróżniła się wreszcie, górnicy przeszli w poprzek halę przyjazdową, wielką, w skale wykutą i wyłożoną kwadratami ciosu grotego, oświetloną trzema potężnymi lampami. Po żelaznych szynach turkotały wózki, uderzając z hałasem o tarcze zwrotnic. Ze ścian wydzielał się odór piwniczny, powietrze było chłodne, przesiąknięte wyziewami saletry, tylko ze stajni pobliskiej szła fala ciepła wyziewów końskich. Cztery galerie otwierały tu swe czarne paszcze.

– Tędy! – powiedział Maheu do Stefana. – Nie jesteśmy jeszcze na miejscu. Mamy ze dwa kilometry przed sobą.

Robotnicy podzielili się na gromadki i znikli po kolei w czterech otworach. Około piętnastu poszło na lewo, a Stefan szedł ostatni za ojcem Maheu, przed którym kroczyli Katarzyna, Zachariasz i Levaque. Dostali się w przepyszną galerię jezdnią, wykutą w tak twardej skale, że tylko tu i ówdzie potrzebowała obmurowania ciosowego. Jedno za drugim szli ciągle bez słowa

w mdłym świetle lamp. Stefan potykał się o kilka kroków na szynach. Od chwili już poczęło mu dudnić w uszach. Był to jakiś dziwny odgłos, jakby szum dalekiej burzy, głuchy grzmot, który szedł jakby z wnętrza ziemi, zbliżając się z zastraszającą szybkością. Czyżby to był łoskot walących się olbrzymich mas skalnych setki metrów wysokich, dzielących ich od powierzchni ziemi? Błyskawica przedarła ciemności, ściany galerii zadrżały. Stefan, instynktownie naśladowując ruch ojca Maheu, przylgnął plecami do ściany i zaraz ujrzał blisko przed sobą dużego białego konia zaprzęzonego do pociągu wózków. Koń stąpał powoli. Na pierwszym wózku siedział Bébert, trzymając w ręku cugle, a Jeanlin biegł z tyłu bosy z rękami opartymi o brzeg ostatniego wózka.

Szli ciągle naprzód i doszli do rozstaju, gdzie się otwierały dwie nowe galerie. Grupa podzieliła się znowu. W ten sposób górnicy dostawali się we wszystkie punkty kopalni.

Teraz obmurowanie znikło, a ukazały się dębowe poprzecznice na powale galerii i belki na ścianach. Skała była tu krucha.

Przez szerokie szpary w drzewie połyskiwał łupek mikowy i białe płaty piaskowca. Ciągłe mijały ich pociągi próżnych i pełnych wózków. Z łoskotem grzmotu, ciągnięte przez konie, w niepewnym świetle wyglądające na widziadła nocne, wyłaniały się z otchłani i ginęły w niej znowu. Na bocznym torze jakby zaśniony wąż leżał w jednym miejscu szereg wykolejonych wózków, a koń tak mało odcinał się od czarnych ścian, że

wyglądał, jak leżący na ziemi ogromny złom węgla. Wentylatory funkcjonowały bez przestanku z łoskotem blaszanych pokrywek na garnkach z gotującą się wodą.

W miarę oddalania się od hali przyjazdowej, galeria stawała się coraz węższa, a zwieszające się z góry złomy skalne zmuszały do schylania się bez przestanku. Stefan uderzył raz głową straszliwie w blok piaskowca. Gdyby nie gruba, skórzana czapka, byłby sobie roztrzaskał niewątpliwie głowę. Od tej chwili zwracał pilną uwagę na najmniejszy ruch idącego przed nim ojca Maheu, którego sylwetka dziwacznie podskakiwała i kurczyła się w świetle lampy.

Żaden z górników nie uderzył się w głowę, ani nie potknął się. Znali widocznie doskonale każdą skałę, każdy występ skalny i każdą dziurę w chodniku. Stefan począł się teraz ślizgać na przesiąkłej wodą ziemi. Często brodził w istnych bagniskach, o których obecności świadczył tylko chlupot nóg. Nie widział ich i nie mógł ominąć. Ale największą dlań niespodzianką była zmiana ciepłoty powietrza. Tam, u stóp zjazdu było chłodno, w galerii głównej, którędy płynęło całe powietrze do kopalni, dał mroźny wiatr, który w węższych przejściach potęgował się w orkan, im dalej jednak zapuszczano się w chodniki boczne, które pośrednio tylko uczestniczyły w wentylacji, tym lżejszy stawał się powiew. Gorąco wzmagало się i stawało ciężkie, dławiące.

Maheu dotąd nie otwierał ust. W jednym miejscu skręcił do chodnika na prawo i nie obracając się rzekł do Stefana:

– Pokład Wilhelma.

W tym pokładzie pracowali właśnie. Już za drugim krokiem Stefan uderzył się w głowę i obtarł sobie bok o ścianę. Powąta spuszczała się tutaj tak nisko, że nieraz dwadzieścia i trzydzieści metrów iść trzeba było w postawie pochylonej, dotykając niemal rękami ziemi. Woda tymczasem sięgała do kostek. Uszli w ten sposób ze dwieście metrów. Naraz Stefanowi znikli z oczu Katarzyna, Zachariasz i Levaque. Wsunęli się niezawodnie w szczelinę rozwartą przed nimi.

– Teraz jazda do góry! – zawołał Maheu. – Zawieś pan lampę na guziku i trzymaj się mocno drzewa.

Zniknął, a Stefan musiał iść za nim. Był to rodzaj komina wykutego w pokładzie. Przeznaczony był tylko dla pracujących tutaj i wiódł do chodników poprzecznych. Był tylko tak szeroki jak pokład węgla w tym miejscu, to jest sześćdziesiąt centymetrów. Stefan był smukły i tylko dzięki temu powiodło mu się wdrapać do góry. Nie byłby tego uczynił inaczej, gdyż mu brakło wprawy. Wielkim wysiłkiem mięśni podniósł się w górę, opierając się biodrami o ściany i trzymając belek. Piętnaście metrów wyżej był pierwszy chodnik poprzeczny, ale Maheu pracował ze swą rodziną wyżej, w szóstym chodniku, w *jamie*, jak mówił. Co piętnaście metrów znajdowały się chodniki. Wędrówka wydawała się Stefanowi nieskończenie długą, bolały go piersi, plecy, biodra, ręce. Dyszał, zdawało mu się, iż wałą się nań skały przygniatając go swym ciężarem, przede wszystkim brakowało mu powietrza do oddychania i krew uderzała mu do głowy. Był pewny, że lada chwila buchnie wszystkimi porami

skóry. W jednym z chodników ujrzał dwie pochylone postacie pchające przed sobą wózki. Jedna była mała, druga większa. To Lidia i Mouquette pracowały. Musiał iść o dwa piętnastometrowe stopnie wyżej. Pot ciekący z czoła zasłaniał mu oczy, zwątpił, by mógł doścignąć tamtych, co szli przed nim i tak wprawnie, lekko ślizgali się w górę szczeliny.

– Odwagi! Już blisko! – zawołała Katarzyna.

Ale gdy dotarł wreszcie na miejsce, usłyszał z głębi szczeliny dochodzący inny głos, który krzyczał:

– No, cóż to ma znaczyć? Cóż to za robota? Mam z Montsou dwa kilometry, a jestem pierwszy na miejscu!

Był to Chaval, wysoki, chudy, kościsty chłopak dwudziestopięcioletni o grubych rysach twarzy. Gniewał się, że musiał czekać. Gdy spostrzegł Stefana, spytał tonem pogardliwym:

– A to co znowu?

A gdy mu rzecz Maheu objaśnił, zamruczał przez zęby:

– A więc teraz chłopcy zabierają dziewczętom chleb spod nosa!

Stefan zamienił z Chavalem spojrzenia instynktownej nienawiści, czuł obrazę, chociaż jej zrozumieć nie mógł. W milczeniu wzięli się wszyscy do roboty.

Sztolnie na wszystkich piętrach były teraz w ruchu. Pełno było robotników wszędzie. Kopalnia pochłoneła chciwie swą dzienną rację stawy, to jest blisko siedmiuset ludzi, którzy jak mrówki w olbrzymim mrowisku pracowali teraz, wierząc

ziemię we wszystkich możliwych kierunkach, jak robaki starą szafę. Gdyby ktoś przyłożył ucho do ściany skalnej jakiegoś opuszczonego chodnika, byłby niezawodnie w głębokiej ciszy usłyszał gryzienie tych ludzi-owadów wnętrzości ziemi. Wszystkie odgłosy by mógł rozeznaczyć, od drżenia pędzącej w dół i do góry liny windy, aż do skrzypu kilofów wyрубujących w sztolniach węgiel.

Stefan obrócił się i w ciasnocie sztolni uczuł się znowu przyciśniętym do Katarzyny. Ale tymczasem dotknął jej piersi poczynających się zaokrąglać i nagle zrozumiał żar, który od niej bił obejmując go rozkoszną falą.

– Więc ty jesteś dziewczyną? – spytał zmieszany.

Odpowiedziała wesoło, bez rumieńca na twarzy:

– Naturalnie!... Doprawdy, długo trwało, nim się to spostrzegł.

IV

Czterej hajerzy umieścili się jeden za drugim w małej, wąskiej szyi sztolni. Jeden od drugiego oddzielony był deskami, które nie pozwalały odłupanym kawałkom węgla stoczyć się niżej. Przedziały poszczególne miały około czterech metrów długości, a wąskie były nadzwyczaj, gdyż cały pokład miał w tym miejscu szerokości pół metra zaledwie. Górnicy kulić się musieli, czołgać na rękach i kolanach, i obracając się, uderzali plecami o ściany. Nie mogli użyć kilofów inaczej, jak kładąc się na boku z przekrzywioną szyją i wzniesionymi rękami. Tylko w ten sposób mieli dość miejsca na zamach krótkiej pikli, rodzaju kilofa na krótkiej rękojeści.

Na samym dole pracował Zachariasz, Levaque i Chaval mieścili się ponad nim, u samego zaś szczytu znajdował się Maheu. Odkuto naprzód warstwę łupku, potem każdy w ścianie robił dwa prostopadłe wcięcia i wbijał od góry żelazny klin, w ten sposób wyłupując blok węgla. Węgiel był twardy, za każdym razem blok spadający pękał na drobne części i spadał na brzuch i kolana pracujących. Gdy nałupanych odłamków zebrało się sporo u dołu na deskach, hajerzy znikali wówczas sobie wzajem z oczu, jak zamurowani w ciasnej komórce.

Ojcu Maheu było najgorzej. U góry sięgała ciepłota trzydziestu pięciu stopni, świeższe powietrze nie dochodziło tam i chwilami dusiło go w gardle. Dla oświecenia sobie ściany

zawiesił lampę górniczą na gwoździu tuż nad głową i lampa ta prażyła mu czaszkę, podnosząc przy tym ciepłotę w sposób nieznośny. Męki jego potęgowała jeszcze wilgoć. Skała ponad nim wisząca, o kilka centymetrów od twarzy, ociekała wodą. Bez ustanku, w szybkim tempie z upartą regularnością spadały nań duże, ciężkie krople, ciągle w to samo miejsce. Choć kręcił karkiem na wszystkie strony, ciągle padały mu na twarz z pluskiem i spływały po brodzie. Po kwadransie był przemoczony, spocony i kurzyło się z niego jak z garnka. Tego ranka klął bez końca kroplę spadającą mu ciągle na oko. Ale to nie pomagało i kuć musiał dalej skały, pośród których leżał jak ćma między kartkami książki, co chwila mogąc się spodziewać zgniecenia.

Pracowano w milczeniu, wszyscy kuli i nie było słychać nic prócz tych nieregularnych, głuchych, jakby z oddali dochodzących ciosów. Dźwięk był tu raczej ostrym szelestem bez echa, w zduszonym gorącym powietrzu. Pył unoszący się chmurą, gazy wyciskające łzy z oczu czyniły atmosferę niemożliwą prawie do oddychania. Lampy palące się w siatkach metalowych błyszczały jak czerwone punkty, nie oświecając prawie sztolni podobnej do wąskiego skośnego komina, w którym sadza z dziesięciu lat uczyniła pomrokę nieprzebitą. W słabym półświecie poruszały się cienie dziwaczne. Tu i ówdzie zjawiała się muskularna ręka bez ramienia, łydka olbrzymich rozmiarów, głowa, jakby głowa zbrodniarza, uczerniona dla niepoznaki. Czasem odrywające się od powały i ścian bloki węgla i odłamki skalnego muru rozbłyskiwały jak kryształy

olbrzymie diamentu zapadając za sekundę w czarną nicość. Hajerzy tłukli bez przerwy silnie, a prócz tych głuchych uderzeń słyhać było tylko astmatyczny oddech górników i wykrzyki wyczerpania i niezadowolenia wywołane zaduchem i sączącymi się kroplami wody.

Zachariasz osłabiony nieco wczorajszą pohulanką niedługo przestał kuć pod pozorem stemplowania ścian, co mu pozwalało świstać pod nosem i wpatrywać się bezmyślnie w ciemności. Rzeczywiście leżąca poza górnikami trzechmetrowa może przestrzeń jeszcze nie miała podparcia. Chcąc oszczędzić czasu, bez względu na możliwość niebezpieczeństwa nie popodpierali zwisających skał powały opróżnionej z węgla sztolni.

– Hej! – krzyknął Zachariasz do Stefana. – Podaj no drzewo!

Stefan, którego Katarzyna uczyła właśnie, jak ma władać łopatą, musiał przyciągnąć kłoc drewna, których mała jeszcze kupka leżała u wejścia do sztolni. Zazwyczaj przywożono je tutaj zaraz z rana, przycięte odpowiednio do rozmiarów pokładu.

– Prędej, do stu diabłów, prędej! – krzyczał Zachariasz, widząc, jak niezgrabnie nowy przesuwacz przedziera się przez stosy węgla, ciągnąc cztery ciężkie kłoc dębowe.

Potem kilofem zrobił zacięcie w powale, drugie w ścianie i zaklinował w nich końce kłoca dębowego, który w ten sposób podpierał strop. Po południu zwykle wypełniali robotnicy ziemni żwirem skalnym przestrzeń pomiędzy kłocami opróżnionej arterii, zostawiając tylko tyle miejsca, by się mógł przesunąć wózek.

Maheu przestał stękać. Wyłamał nareszcie swój blok i ocierał rękawem koszuli spotniałą twarz. Potem na widok Zachariasza wpadł w gniew.

– Zostaw to! – krzyknął. – Po śniadaniu będzie dość czasu... weź raczej kilof, bo nie dobijemy do zwykłej liczby wózków.

– Ależ tu się obniża powała! – zawołał chłopak. – Popatrz ojciec... tu jest wielka szczelina. Boję się, że spadnie!

– Głupstwo! Niech się wali! Albo to pierwszy raz! Już my sobie jakoś poradzimy!

Rozgniewał się na dobre, zwymyślał syna i kazał mu iść do roboty.

Za chwilę wszyscy przestali pracować i przeciągali się ziewając. Levaque leżąc na plecach i klnąc oglądał palec lewej ręki, skaleczony kawałkiem skały, który spadł znienacka. Chaval z wściekłością zdarł z siebie koszulę i obnażył się po pas dla ochłody. Czarni już byli od pyłu węglowego, który pokrywał ich ciała grubą warstwą i zmieszany z potem cienkimi wstążeczkami spływał na dół.

Maheu począł pierwszy kuć na nowo. Tym razem wyłamywał blok głębiej, tak że głową oparł się o ścianę. Krople wody ciekły mu teraz na czoło z taką straszną, upartą jednostajnością, iż miał wrażenie, że wywiercą mu dziurę w czasie.

– Nie zważaj na to – mówiła Katarzyna do Stefana. – Oni muszą się wygadać. To tak zawsze.

Poczęła uczyć go znowu, uradowana rolą nauczycielki. Każdy napełniony wózek wydostawał się na światło dzienne tą samą

drogą, którą tutaj przybył, oznaczony specjalną marką, w celu, by kontroler zapisał go na dobro właściwego robotnika. Ale musiał być starannie naładowany, węglem dobrej jakości, wolnym od odłamków skalnych, gdyż inaczej nie zostałby przyjęty.

Stefan przywykł do ciemności i patrzył na Katarzynę, której twarz bezkrwista i teraz jeszcze była biała. Nie mógł odgadnąć, ile ma lat. Była tak drobna, że wyglądała najwyżej na dwanaście. Ale chwilami wahał się i czuł tylko pewne zmieszanie na widok swobody jej ruchów. Zachowywała się jak chłopiec i to go drażniło, odpychało nawet, a twarz jej, okolona niebieską czapką, nie wyglądała zgoła na twarz dziewczyny. Prędzej była to fizjonomia cyrkowego, osypanego mąką Pierrota. Dziwiła go natomiast fizyczna siła tego dzieciaka, połączona z niezwykłą zręcznością. Prędzej dużo niż on nabierała po trochu węgla na łopatę i jednostajnym, szybkim ruchem napełniała wózek. Szło jej to tak łatwo. A potem, jednym pchnięciem posuwała go daleko, aż do miejsca, gdzie się poczynała pochylnia, po której toczył się sam dalej. Nie wypadł nigdy z szyn, pchnięcie było mistrzowskie. Z niezrównaną zręcznością poruszała się też w wąskiej szyi sztolni, podczas gdy Stefan męczył się strasznie. Wózki jego toczyć się nie chciały, co go napełniało gniewem i zniechęceniem.

I w samej rzeczy nie była to wygodna droga. Miała około sześćdziesięciu metrów długości, licząc od miejsca pracy do pochylni, a kawałek nie rozszerzony jeszcze przez hajerów był wąski jak kiszka i bardzo nierówny. W niektórych miejscach

wózek napełniony ledwo się mógł przecisnąć, a przesuwacz był zmuszony kulić się, czołgać na kolanach, by nie uderzyć w skałę głową. W dodatku gdzieś pogięły się i połamały klocki dębowe stanowiące rusztowanie. Widać było złamane pośrodku, na innych widniały długie, białe pęknięcia. Trzeba było uważać, by się nie poranić na drzazgach drzewa i pod sklepieniem, którego nacisk powolny ale ustawiczny łamał jak zapalki kłocę dębowe, czołgać się trzeba było na brzuchu, nadśłuchując, czy nie zacznie własny grzbiet trzeszczeć.

– Znowu! – zawołała ze śmiechem Katarzyna.

Wózek Stefana wykoleił się w najgorszym miejscu. Nie potrafił go równo przesunąć po szynach, które nie znajdując miejscami na zwilgotniałym gruncie dostatecznego oparcia, powyginały się falisto. Stefan wpadł w gniew, ale choć czynił rozpaczliwe wysiłki, nie mógł wózka wydostać na szyny.

– Daj spokój – powiedziała Katarzyna. – Złość tu nie zda się na nic.

Szybkim ruchem wślizgnęła się pod pudło wózka, wcisnęła pod nie pośladki i nagłym szarpnięciem mięśni stosu pacierzowego dźwignęła w górę, tak że spadł na szyny. Wózek ważył około siedmiuset kilogramów. Stefan zdumiony i zawstydzony mruczał słowa podzięk.

Musiała mu teraz pokazać, jak się to robi, jak trzeba rozkraczać nogi, opierać stopy o belki stemplowania, po obu stronach chodnika, by mieć silny punkt oparcia. Potem uczyła, że musi się zginać, wyciągnąć ręce, by móc pchnąć naraz wszystkimi

mięśniami ramion, pleców i łędźwi. Szedł za nią, gdy toczyła swój wózek, i widział, jak stąpa zgięta, z opuszczonymi w dół rękami, jak gdyby szła na czworakach, niby mały, cyrkowy niedźwiedź. Potniała, stękała, stawy jej trzeszczały, mimo to jednak nie poskarżyła się i nie wyszła ze stanu obojętności nabytej przyzwyczajeniem. Zdawało się, iż uważa za wspólny nieunikniony los całej ludzkości ugięcie się pod straszne jarzmo takiej pracy. Nie zdołał robić jak ona. Zawadzały mu trzewiki, a grzbiet mu pękał, gdy szedł chwilę ze spuszczoną nisko głową. Po kilku minutach już pozycja ta stawała się dlań męką nieznośną i musiał co czas jakiś klękać, by wyprostować się i odetchnąć swobodniej.

Ale u pochylni czekała go trudność nowa. Katarzyna uczyć go musiała, jak szybko ekspediować wózek. Na początku tej kolei łączącej wszystkie chodniki i piętra znajdowali się hamownicy.

Mali chłopcy dwunasto- i piętnastoletni, nicponie co się zowie, przeklinali się wzajem na cały głos i trzeba było głośno z góry krzyczeć, by usłyszeli. Gdy należało wyciągnąć do góry pusty wózek, chłopak stojący na dole dawał znak, a przesuwaczka ekspediowała swój pełny wózek, którego ciężar, po opuszczeniu przez hamowniczego, windował do góry wózek próżny. Na dolnej galerii piętra łączono potem wózki w pociągi i transportowano końmi, aż do szachtu, gdzie wyciągała je winda na powierzchnię kopalni.

– Hej, gałgany! – krzyczała Katarzyna jakby w tubę, w stumetrowy niemal, obmurowany chodnik, a głos rozchodził się

donośnie.

Malcy odpoczywali zapewne, gdyż ani jeden, ani drugi się nie odzywał.

Na wszystkich piętrach tej partii ustało dudnienie wózków po szynach.

Naraz rozległ się cienki głosik dziewczęcy.

– Pewnie odpoczywa sobie który na Mouquette.

Rozległy się głośnie śmiechy, przesuwaczki całego pokładu śmiały się trzymając za brzuchy.

– Kto to powiedział? – spytał Stefan Katarzyny.

Katarzyna wymieniła imię Lidii, małej dziewczynki, bardzo jednak biegłej w sprawach tego rodzaju, która swymi cieniutkimi rączkami popychała wózki jak dorosła kobieta. Nikt nie wątpił zresztą, że Mouquette może przygarnąć obu chłopców naraz.

Ale nagle chłopcy poczęli wołać, by ekspediowano wózki. Widocznie pojawił się gdzieś w pobliżu dozorca. Zaraz też we wszystkich dziewięciu sztolniach poczęło się na nowo przesuwanie wózków, brzmiał w miarowych odstępach głos chłopców i dyszały oddechy przesuwaczek, które dochodząc do pochylni sapały i parskały jak pomęczone konie.

W kopalni drzemały zwierzęce instynkty i budziła się nagle samcza żądza w Stefanie, gdy spotkał którąś z tych dziewcząt biegących na czworakach z pośladkami w górę wzniesionymi, obciśnionymi w męskie spodnie pękające niemal pod naporem bioder i lędźwi kobiecych.

Ilekcroć Stefan wracał do miejsca, gdzie pracowali hajerzy,

uderzała go jak obuch fala zgęstniałego, rozpalonego powietrza, słyszał ich ostre chrapliwe oddechy i głuche uderzenia kilofów. Wszyscy czterej rozebrali się teraz do naga, zagrzebani byli niemal w węglu i czarni aż po czapkę górniczą. Raz musiano odsuwać deski, zwałać na dół węgiel, który się na nich nazbierał pod ojcem Maheu, a jego samego na poły uduszonego wydobywać z ciasnej nory. Levaque i Zachariasz kleli pokład, który był tak twardy, że czynił niemożliwym dotrzymanie zobowiązania, jakie wzięli na siebie wobec Kompanii. Chaval obrócił się też na chwilę i leżąc na grzbiecie w klątwach dał upust swej złości, w jaką go wprowadziła obecność Stefana.

– Nędzny robak! Nie ma siły tyle nawet co dziewczyna! Żal ci rąk? Czekaj, niech no mi tylko nie przyjmą jednego... potracę ci, jak mi Bóg miły, pół franka!

Stefan nie odezwał się nawet, kontent, że znalazł tę pracę, zbyt straszną nawet dla galernika, i poddał się zwyczajnemu niewolniczemu stosunkowi pomocnika do robotnika. Ale poczuł, że nie ma już sił. Nogi miał pokrwawione, członki wszystkie rozbite, całe ciało jakby rozpięte na torturze. Na szczęście była właśnie godzina dziesiąta i postanowiono zjeść śniadanie.

Maheu miał zegarek, na który nigdy nie spoglądał. Mimo to w tej czerni nieprzebitej nie omylił się nigdy ni o pięć minut.

Wszyscy wdziali koszule i kaftany, powyłazili ze swoich jam i przykucnęli we właściwej górnikom postawie, siadając na piętach i opierając łokcie na kolanach. W tej postawie spotkać można górnika nawet poza kopalnią, nie potrzebuje on do

siedzenia kamienia ni belki. Każdy wyciągnął swą *kanapkę* i wbił zęby w grubą kromkę chleba. O robocie nie rozmawiano wcale prawie. Katarzyna, która nie usiadła, zbliżyła się do Stefana, który opodał wyciągnął się na szynach, opierając plecy o belkowanie ściany. Było tam, gdzie leżał, sucho niemal.

– A ty nie jesz? – spytała z pełnymi ustami chleba, trzymając w ręku swą *kanapkę*.

Nagle przypomniała sobie, że Stefan błakał się przez całą noc po polach nie mając ani grosza na chleb.

– Chcesz... podzielimy się?

Stefan odmówił drżącym głosem, choć mu głód skręcał kiszkę, i zapewniał ją, że mu się jeść nie chce. Ale Katarzyna mówiła dalej wesoło:

– A może się brzydzisz po mnie? Ale patrz, ugryzłam z tej strony, a dam ci ten kawałek.

Rozłamała kromkę na dwie części. Stefan wziął jedną w rękę i całą siłą woli wstrzymywał się, by jej nie połknąć od razu. Oparł na kolanach ręce, by nie dostrzegła, że drżą. Jak dobry towarzysz pracy położyła się przy nim spokojnie na brzuchu i oparła brodę na jednej dłoni, drugą wsuwając powoli chleb do ust.

Lampy stojące pośrodku oświecały teraz dość jasno oboje. Katarzyna spoglądała nań przez chwilę w milczeniu. Zapewne podobał jej się. Miał delikatne rysy twarzy i czarny wąs. Lekki uśmiech pojawił się na jej wargach.

– Więc byłeś maszynistą... i wygnano cię z kolei?... A czemuż to?

– Dałem w twarz przełożonemu.

Zdumiała się niezmiernie, gdyż wrodzone miała poczucie konieczności poddańczego, ślepego posłuszeństwa. Nie mogła tego po prostu pojąć.

– Muszę dodać – ciągnął dalej Stefan – że byłem pijany. Gdy się napiję, wpadam w szal i zabić bym gotów siebie i wszystkich. Tak, wystarczy mi wypić tylko dwa kieliszki, a czuję już ochotę do awantur. Potem choruję dwa dni.

– Nie powinieneś pić! – rzekła poważnie.

– O, nie bój się, nie robię tego często... znam siebie!

Potrząsnął głową. Czuł do wódki nienawiść, straszną nienawiść ostatniego potomka rasy pijaków, który odziedziczył po przodkach krew zdegenerowaną, do tego stopnia zdenerwowany organizm, że kropla alkoholu stawiała się dlań trucizną.

– Żał mi tylko matki, bo wyrzucić ją musiano pewnie na ulicę! – rzekł, przełknąwszy spory kęs chleba. – Dawniej posyłałem jej od czasu do czasu po pięć franków... teraz... skądże bym wziął!

– A gdzie jest twoja matka?

– W Paryżu... jest praczką przy ulicy de la Goutte d'Or.

Zapanowało milczenie. Stefan zapadł w rozpamiętywanie swego minionego życia, a w oczach jego pojawił się jak zazwyczaj strach, strach przed czymś nieznanym, drzemiący mimo młodych lat na dnie jego duszy.

Chwilę wpatrywał się w ciemności chodnika, a przez duszę osepioną tą czernią, duszną atmosferą płynęły mu wspomnienia

młodości. Widział swą matkę, gdy młoda jeszcze była i wesoła... Potem opuścił ją ojciec... a w jakiś czas, gdy już połączyła się z innym, wrócił. Wiodła teraz życie smutne, z dwoma mężami, którzy ją zabijali, i zbliżała się z wolna do rynsztoka. Co za życie! Wódka, wino i klątwy. Przed, oczyma stanęła mu czarna, cuchnąca nora... ujrzał ją najdokładniej zawieszoną bielizną i cuchnącą wódką, poczuł znów na twarzy i głowie razy pięści.

– Teraz – począł powoli – nie będę jej mógł posłać ani trzydziestu sous. Zmarnieje z nędzy... to rzecz pewna.

Z rozpaczą wzruszył ramionami i wbił zęby w chleb.

– Chcesz się napić? – spytała Katarzyna, odkorkowując blaszaną flaszkę. – Nie bój się, to kawa... nie zaszkodzi. Człowiek się może udławić, gdy je, nie popijając.

Stefan odmówił. Już dość było, że pozbawił ją połowy chleba. Ale Katarzyna namawiała go serdecznie i wreszcie rzekła:

– No dobrze... skoroś taki uprzejmy, to napiję się pierwsza, ale potem odmówić już nie możesz, to by było nieładnie.

Podawała mu flaszkę. Uklękła teraz blisko. Lampa oświecała dokładnie jej twarz i Stefan dziwił się, czemu wydawała mu się przed paru godzinami brzydką. Ponętna teraz była dlań, z twarzą pokrytą warstwą węgla. Połyskiwały na niej białe zęby oprawne w za szerokie może trochę usta, a oczy miały ton zielony jak oczy kota. Zwój rudych włosów wymknął się spod czapki górniczej i łaskotał ją za uchem, co ją pobudzało do śmiechu. Nie wydawała mu się teraz tak młodą i ocenił ją na lat czternaście.

– Za twoje zdrowie! – rzekł, napił się i oddał jej flaszkę.

Przyłożyła ją do ust, a potem zmusiła go do napicia się powtórnie i ta krążąca od ust do ust flaszka sprawiała im wielką radość. Stefan już zadał sobie pytanie, czy nie mógłby jej objąć ramieniem i ucałować w usta. Wargi jej duże, blade, zwalane węglem poczęły go nęcić. Mimo wzrastającego pożądania nie ośmielił się jednak uczynić tego. Obcował w Lille z samymi tylko istotami upadłymi i nie wiedział, na co sobie pozwolić można z mieszkającą u rodziców, uczciwą robotnicą.

– Musisz mieć już ze czternaście lat? – spytał połykając ostatni kęs chleba. Zdumiała się, rozgniewała niemal.

– Jak to, czternaście? Mam już przecież piętnaście! To prawda, nie wyrosłam bardzo... ale u nas dziewczęta dorastają późno.

Pytał ją dalej o różne rzeczy, a dziewczyna odpowiadała bez cynizmu, ale także bez zbytecznej wstydlivości. Była zresztą doskonale poinformowana o wszystkim, co się odnosiło do stosunków mężczyzny z kobietą, choć sama zachowała dziewiczość ciała i była dotąd dzieckiem nierozwiniętym dostatecznie płciowo skutkiem życia spędzonego w złym powietrzu przy ciężkiej pracy. Gdy wreszcie, chcąc ją wprowadzić w zakłopotanie, rozpytywać zaczął o Mouquette, opowiadała mu spokojnym głosem, śmiejąc się kilka historyjek, od których włosy mu stanęły na głowie. Ach, Mouquette! Dużo by można opowiedzieć jeszcze. A gdy Stefan spytał, czy sama Katarzyna nie ma dotąd kochanka, odparła śmiejąc się, że nie chce robić matce przykrości, ale pewnie niedługo przyjdzie do

tęgo, zresztą dzieje się tak zawsze. Mówiąc to kulila się od chłodu w swym przemoczonym od potu ubraniu i miała minę potulną, zrezygnowaną, świadczącą, że gotowa przyjąć wszystko, co ją spotka, zarówno kochanka, jak los każdy.

– Łatwo o kochanka, gdy się tak zawsze razem żyje...
prawda? – spytał Stefan.

– Rozumie się.

– A zresztą cóż to komu szkodzi... proboszczowi nie mówi się o tym.

– O, proboszcz! Cóż mnie obchodzi proboszcz... Gorszy Czarny Hajer.

– Co za Czarny Hajer?

– Stary górnik, który chodzi po całej kopalni i skręca karki rozpustnym dziewczętom.

Spojrzał na nią, sądząc, że kpi z niego.

– Ty wierzysz – spytał – w takie brednie? Tak więc ograniczona jesteś?

– O nie, umiem czytać i pisać... to bardzo nieraz potrzebne, bo ojciec i matka nie uczyli się za młodu.

Podobała się Stefanowi i postanowił, gdy skończy chleb, wziąć ją w ramiona i ucałować w usta. Walka z onieśmieleniem i myśl o przemocy, której wobec niej użyje, zdławiły mu głos w gardle. Podniecał go męski ubiór dziewczyny, kaftan i spodnie na ciele jej wzniecały jego pożądanie. Pociągnął z flaszki łyk i oddał ją Katarzynie, by wypić resztę.

Teraz trzeba było działać, rzucił więc przelotne spojrzenie ku

siedzącym w głębi górnikom i wyciągnąć już miał ręce, gdy w otworze sztolni zjawił się cień.

Od chwili już Chaval obserwował ich z odległości. Zbliżył się, upewnił, że ojciec Maheu nie widzi, objął ramieniem dziewczynę siedzącą na ziemi, przegiął jej w tył głowę i spokojnie, jakby Stefana nie było, wycisnął na jej wargach pocałunek. W pocałunku tym mieściło się wzięcie w posiadanie, postanowienie, które dojrzało widocznie pod wpływem zazdrości.

Ale dziewczyna oburzyła się.

– Puść mnie! Słyszysz? – zawołała.

Trzymał jej głowę i patrzył w oczy. Na czarnej jego twarzy czerwono odcinały się rude wąsy i broda i sterczał nos podobny do orlego dzioba. Puścił ją wreszcie i odszedł nie rzekłszy słowa.

Zimny dreszcz wstrząsnął Stefanem. Jakiż głupi był, że czekał. Teraz nie może jej pocałować, bo myślałaby, że naśladować chce tylko tamtego. Duma jego była zraniona i popadł w rozpacz.

– Czemu skłamałaś? – spytał cicho. – On jest twoim kochankiem.

– Nie, nie, przysięgam ci! – krzyknęła. – Nie ma pomiędzy nami nic takiego. On żartuje tylko czasem. Zresztą on nie jest tutejszy, przed pół rokiem przyjechał z Pas-de-Calais.

Wstali oboje, gdyż trzeba się było wziąć na nowo do roboty. Katarzyna posmutniała widząc, że Stefan ma wyraz niezadowolenia na twarzy. Widocznie podobał się jej lepiej niż

tamten i wołałaby go była. Dręczyła ją myśl, jakby mu nagrodzić przykrość, toteż gdy Stefan ze zdziwieniem zauważył, że lampa jego pali się niebieskawym płomieniem otoczonym szeroką, mglistą aureolą, skorzystała z tego, by go nieco rozerwać.

– Chodź, pokażę ci coś! – powiedziała przyjaznym głosem.

Zaprowadziła go na drugi koniec sztolni i pokazała szczelinę w pokładzie węgla. Wydobywało się stamtąd coś z sykiem i bulgotem cichym, podobnym do ćwierkania małego ptaszka.

– Przyłóż rękę, a poczujesz, jak ciągnie... To jest gaz.

Zdumiał się. Więc to był ów straszny gaz kopalniany, który tylu spustoszeń był przyczyną? Dziewczyna zaśmiała się i objasniła, że dlatego lampy palą się niebiesko, bo dziś silnie ciągną gazy.

– Przestaniecie raz trajkotać? – krzyknął ojciec Maheu ostro.

Oboje wrócili do roboty, poczęli znowu napełniać wózki i pchać je z trudem, na czworakach pełzając pod niskim sklepieniem skalnym ku pochylni. Nim zatoczyli drugi wózek, oblał ich znowu pot i trzeszczały stawy od wytężenia.

W sztolni hajerzy wzięli się na nowo do pracy. Często skracali czas śniadania, by się nie przeziębic, a połknięte szybko kanapki ciążyły im w żołądkach jak ołów. Leżąc na boku rąbali ze wzmożoną zaciekłością, opanowani jedną tylko myślą, mianowicie, by wydobyć jak największą ilość wózków. Wszystko nikło wobec nadziei zarobku, tak twardą okupionego pracą. Nie czuli już wody ciekącej ze skał, nie czuli kurczu karku, spowodowanego pozycją nieznośną, gazów dławiących i

strasznych ciemności, w których bledli i marnieli, jak rośliny posadzone do piwnicy. Powietrze stawało się coraz gorsze, im bardziej zbliżało się południe. Przesycał je kopeć lamp, zatrute wyziewy tyłu płuc i wreszcie dławiące, kłujące w oczy gazy. Dopiero wieczorna wentylacja mogła to usunąć. W kreciej jamie, na którą cisnęło olbrzymie brzemie kilkusetmetrowej warstwy skał, gdzie piersi nie miały czym oddychać, kuli hajerzy bez przestanku, by zarobić na chleb powszedni.

V

Wreszcie ojciec Maheu wstrzymał się i rzekł nie patrząc na tkwiący w kieszeni kaftana zegarek.

– Niedługo pierwsza... Zachariasz... jakże tam?

Od chwili chłopak znowu wziął się do stemplowania. Ale zaraz przerwał robotę, położył się na grzbiecie i wpatrując się w ciemności myślał o wczorajszej grze w piłkę. Głos ojca ocucił go z zamyślenia.

– To wystarczy – odparł – jutro zobaczymy, co robić dalej.

I wrócił na swe miejsce w sztolni. Levaque i Chaval odłożyli także kilofy. Odpoczywano. Wszyscy obcierali sobie nagimi ramionami pot z twarzy i spoglądali na skałę sklepienia, w której łupkowej masie pojawiły się pęknięcia. Rozmawiali o pracy.

– A to znowu miła rzecz – zauważył Chaval – dostać się w pokłady, które mogą człowieka lada chwila zasypać.

Układając się o akord z Kompanią nie wzięli tego naturalnie w rachubę.

– Łajdaki! – mruczał Levaque. – Naturalnie, cóż im to szkodzi, gdy my tu wszyscy pozdychamy!

Zachariasz począł się śmiać. Nie troszczył się wiele ani o robotę, ani o nic innego, ale cieszył się, gdy słyszał, że ktoś klnie Kompanię. Maheu tłumaczył spokojnie, że tu nie ma niczyjej winy, gdyż pokłady co dziesięć metrów zmieniają się. Trzeba być sprawiedliwym! Któż może przewidzieć? A gdy

mimo to tamci nie przestawali wymyślać przełożonym, obejrzał się zaniepokojony i rzekł stanowczo:

– Milczeć! Dość tego!

– Masz słuszność! – zauważył Levaque. – Z tego nie wyniknie nic dobrego!

Obawa szpiegów ciążyła na nich nawet w tej jeszcze głębokości, zdawało się im, że węgiel akcjonariuszów, tkwiący jeszcze w pokładzie, ma uszy i może ich zdradzić.

– To mnie nie obchodzi! – krzyknął Chaval bardzo głośno, wyzywającym tonem. – Niech no ta świnią Dansaert pozwoli sobie jeszcze kiedy mówić ze mną jak onegdaj, a dostanie kamieniem w łeb! Czy ja przeszkadzam mu zabawiać się z blondynkami?

Zachariasz wybuchnął teraz głośnym śmiechem. Miłostki głównego nadzorcy z panią Pierron były niewyczerpanym tematem rozmów i dowcipkowań w całej kopalni. Nawet Katarzyna stojąca poniżej, oparta na łopacie śmiała się do rozpuku i w kilku słowach objaśniła Stefana o tym stosunku. Ojciec Maheu natomiast był zły i nie mogąc ukryć obawy rzekł:

– Milcz! Milcz! Jeśli chcesz wywoływać wilka z lasu, to zaczekaj, aż będziesz robił sam na siebie.

Jeszcze nie skończył, gdy od górnej galerii doszedł ich odgłos kroków i zaraz potem ukazał się inżynier kopalni, zwany przez górników małym Négrelem, w towarzystwie Dansaerta.

– A co, nie mówiłem? – mruknął Maheu. – Zawsze są gdzieś w pobliżu i wyrastają spod ziemi.

Paweł Négrel, siostrzeniec pana Hennebeau, był młodym dwudziestosześcioletnim człowiekiem, smukłym, przystojnym, o ciemnych włosach i starannie zawsze ufryzowanych włosach. Spiczasty nos i mądre, przenikliwe oczy nadawały mu wygląd oswojonej łasicy. Niedowierzający był, mądry i postępował z robotnikami bardzo surowo. Ubrany był jak inni i tak samo uwalany w węglu. By wpoić w nich szacunek dla siebie, nie cofał się przed żadnym niebezpieczeństwem, w każdym wypadku, czy to załamania się skał, czy wybuchu gazów, zawsze pierwszy stając na zagrożonym miejscu.

– To tutaj? Prawda, Dansaert? – spytał.

Dansaert, Belg o grubych rysach twarzy i zmysłowym nosie, odpowiedział z przesadną grzecznością.

– Tak panie inżynierze! Oto człowiek, którego przyjęto dziś rano.

Obaj wczłógali się do sztolni. Zawołano Stefana. Inżynier podniósł lampę i obejrzał go od stóp do głowy bez jednego słowa.

– Dobrze! – rzekł wreszcie i dodał. – Nie lubię nieznajomych, zbieranych po ulicy... W każdym razie ostatni raz tak się stało.

Nie słuchał wyjaśnień ojca Maheu, który tłumaczył się konieczną potrzebą i wskazywał na życzenie samej dyrekcji zastąpienia przesuwaczek mężczyznami. Badał sklepienie, podczas gdy hajerzy pochwycili na nowo kilofy. Nagle zawołał:

– Słuchajcie no, Maheu! Nie zależy wam widać na życiu!...

– O, to mocne! – odparł spokojnie górnik.

– Co, to mocne? Ależ to się już teraz obsuwa. Doprawdy

wydaje się, jakby wam żal było drzewa, podpieracie w odstępach dwu przeszło metrów! Ach, zawszeście ci sami. Żal wam minuty czasu i wolicie ryzykować życie, jak stracić jeden wózek na to, by porządnie podstemplować sklepienie! Natychmiast brać mi się do tego! W tym miejscu muszą być założone podwójne belki.

A gdy robotnicy przedstawiali, iż tak groźnie nie jest, iż sami przecież ocenić to potrafią ze względu na własne niebezpieczeństwo, wpadł w gniew i począł krzyczeć:

– Ha, a któż to ponosi szkodę, gdy wam kości pogniecie, może wy? Nie wy! Kompania musi wówczas płacić pensje¹³ waszym żonom i dzieciom! Znam ja was! Znam! Za jeden wózek więcej, narazicie się bez namysłu! Natychmiast brać się do roboty! Słyszycie?

Maheu, mimo wzbierającego gniewu, powiedział jeszcze spokojnie, z namysłem:

– Gdyby nam lepiej płacono, stemplowalibyśmy też lepiej.

Inżynier za całą odpowiedź wzruszył ramionami. Spuścił się już ze sztolni i dodał jeszcze z dołu:

– Macie jeszcze godzinę czasu. Zaraz mi się brać do roboty! Zapowiadam wam też, że za to, co się dziś stało, macie trzy franki kary.

Głuchy pomruk hajerów był odpowiedzią na te słowa. Powstrzymywała ich w karchach tylko surowa kasarniana¹⁴ dyscyplina, która od przesuwacza aż do głównego nadzorcy

¹³ pensja – tu: renta. [przypis edytorski]

¹⁴ kasarniany (daw.) – koszarowy. [przypis edytorski]

uginąła wszystkich pod jarzmo hierarchicznego, ślepego posłuszeństwa.

Levaque i Chaval grozili pięściami, Zachariasz ironicznie się uśmiechał, wruszając ramionami, a Maheu spoglądał po kolei na wszystkich, wzywając ich wzrokiem do milczenia. Wściekłość wezbrała najbardziej w Stefanie. Od czasu, kiedy dostał się do sztolni, ciągle wzrastało w nim oburzenie. Spojrzał na Katarzynę, stała z pochyłą głową pokorna, uległa. Czyż to możebne, myślał, by ludzie zabijali się piekielną pracą w tych ciemnościach, nie mając nawet pewności, że zarobią na suchy kawałek codziennego chleba?

Négrel i Dansaert odeszli. Dansaert nie odezwał się już, kiwając na wszystko głową, co mówił przełożony. Za chwilę usłyszano w sztolni znowu ich głosy. Stanęli niedaleko i badali belkowanie stropu, które w promieniu dziesięciu metrów od miejsca pracy powinni byli utrzymać w dobrym stanie górnicy.

– A co, nie mówiłem, ci ludzie nie troszczą się o nic! A pan, do stu diabłów, gdzież pan masz oczy?

– Chodzę, doglądam, panie inżynierze! – bąkał Dansaert. – Człowiek ochrypl już od samego powtarzania jednej rzeczy po dziesięć razy na dzień.

Négrel rozwścieklony począł wołać:

– Maheu! Maheu!

Wszyscy podeszli szybkim krokiem do inżyniera.

– Patrzcie – mówił Négrel – jakże to może trzymać. To wygląda na robotę dziecka. Oto belka, która się całkiem nie

trzyma w zacięciu... wsadzona jak na kpiny... Na miłość boską, co wy robicie? Ha, teraz już wiem, czemu nam poprawki pochłaniają takie kolosalne sumy. Wam wystarczy, by się od biedy trzymało, jak długo za to jesteście odpowiedzialni! Potem wszystko się do diabła zapada, a Kompania musi trzymać całą armię ludzi, którzy wszystko robią na nowo... o patrzcie tu na przykład... tu u dołu! Psiakrew... cóż za łajdacka robota!

Chaval chciał mówić, ale nakazał mu milczenie.

– Wiem, wiem już, co chcesz powiedzieć, znam tę piosenkę... Podwyższenie płacy! Prawda? Ha, ha, a ja wam mówię, że jeśli tak dalej pójdzie, zmusicie dyrekcję do tego, że wam będzie osobno płacić za stemplowanie, równocześnie w odpowiednim stosunku zniżając płacę od wózka. Zobaczymy, czy zyskacie na tym... Ale dość tego... stąd dotąd macie podstemplować na nowo! Jutro zobaczę, czy zrobione.

I odszedł, zostawiając górników pogrążonych w rozpacz i zdumieniu. Dansaert, który w obecności inżyniera był tak skromny, zatrzymał się na małą chwilę i wrzasnął na górników:

– Przez was muszę tego wszystkiego słuchać! Ale czekajcie, już ja wam wlepię coś więcej, jak marne trzy franki kary! Poznacie mnie!

Gdy odszedł, wybuchnął stary Maheu.

– Psiakrew! Co za wiele, to za wiele! Ja pierwszy obstaję przy tym, by się nie unosić, bo tylko w ten sposób może przyjść do porozumienia, ale w końcu muszą człowieka diabli brać! Słyszeliście? Zniżyć chcą płacę za wózek, a osobno płacić

stemplowanie! Ha, to wyborny pozór, by jeszcze mniej płacić! Psiakrew!

Szukał oczami kogoś, na kogo by wylać swą żołąć, i spostrzegł Katarzynę i Stefana stojących beczynnie.

– Dalej, marsz po drzewo! To was nie tyczy wcale? Marsz, albo dam wam kopniaka gdzieś!

Stefan, nie czując urazy do starego, pospieszył po drzewo. Sam był wściekły na Négrela i górnicy wydawali mu się zbyt ulegli jeszcze i spokojni w stosunku do zachowania się przełożonych.

Levaque i Chaval nakłeli też co wlało, a potem wszyscy wzięli się do roboty. Nawet Zachariasz nie lenił się tym razem i przez pół godziny słychać było tylko stuk kilofów o drzewo i trzask zacinanych toporami belek. Robotnicy nie otwierali ust, ale dyszeli i wrzeli złością na skałę, którą byliby chętnie dźwignęli na własnych ramionach, albo roztrzaskali pięścią, gdyby to było możliwe.

– Dość tego! – rzekł w końcu Maheu wyczerpany złością i pracą.

– Pół do drugiej!... Ha, piękny będzie nasz dzisiejszy zarobek, nie będziemy mieli ani pięćdziesięciu sous wszyscy razem. Ale mniejsza z tym... idę już! Mam tego dość.

I chociaż mieli jeszcze pół godziny pracy przed sobą, ojciec Maheu ubrał się, a inni poszli za jego przykładem. Nie mogli po prostu patrzeć dłużej na sztolnię bez wewnętrznego wzburzenia. Katarzyna poczęła znowu napełniać wózek, odwołali ją,

gniewając się, że nagle taka pilna. Niech sobie węgiel sam idzie, jeśli ma nogi! Wszyscy wzięli pod pachę narzędzia i wyszli. Mieli przed sobą jeszcze dwa kilometry do szachtu.

Hajerzy poszli przodem, a Katarzyna i Stefan pozostali nieco w tyle. Spotkali Lidę, zatrzymała wózek, by im zrobić miejsce, i powiedziała, że Mouquette gdzieś znikła. Dostała przed godziną gwałtownego krwotoku z nosa i poszła szukać zimnej wody na okłady. Od tej pory nikt jej nie widział. Pożegnali się z nią wreszcie, a dziecko poczęło dalej popychać wózki cienkimi rączkami, podobne do wielkiej czarnej mrówki, walczącej mężnie z brzemieniem, którego dźwignąć nie może. Stefan i Katarzyna zjechali na plecach po pochyłości komina, z taką szybkością, że musieli chwytąć się od czasu do czasu osłaniających ściany belek, by, jak mówiła ze śmiechem Katarzyna, pośladki ich nie zapaliły się od tarcia o wypolerowaną przez tylu już górników skałę.

Dotarwszy do galerii dolnej spostrzegli, że są sami. Lampy hajerów zniknęły właśnie w dali. Wesołość ich zagasła i ociężałym krokiem szli, ona naprzód, on za nią. Lampy kopciły tak, że Stefan ledwie mógł w obłoku dymu dojrzeć swą przewodniczkę. Świadomość, że była dziewczyną, sprawiała mu przykrość. Uważał się za durnia ostatniego, iż jej nie obejmie ramieniem i nie pocałuje, a jednak na myśl o Chavalu nie czuł się na siłach uczynić tego. Pewnie okłamała go, a tamten był jej kochankiem. Pewnie zabawiają się nieraz, gdziekolwiek, na pierwszej lepszej kupce żwiru. To jasne! Kołyszę się w biodrach jak każda

rozpuścica. I złościł się na nią, jak gdyby go oszukała, ona zaś obracała się co chwila, zwracała jego uwagę na najmniejszą przeszkodę i zdawała się zachęcać go, by się do niej zbliżył. Byli w całej galerii sami, można było tak ładnie porozmawiać, pośmiać się, pożartować po przyjacielsku! Wreszcie skręcali do galerii głównej, kędy szły pociągi, i to uczyniło mu ulgę, położyło koniec męce wahania się. Ona zaś, obracając się po raz ostatni, rzuciła mu spojrzenie smutne, w którym odczytać mógł żal za utraconym może na zawsze szczęściem.

Teraz pulsowało dokoła nich życie podziemia. Dozorcy chodzili bezustannie tam i na powrót, przesuwali się pociągi w tę i w tamtą stronę i rozlegał się tętent kopyt końskich. Ciągłe rozbłyskiwały w ciemnościach lampy. Musieli się ciągle przyciskać do ściany, by zrobić miejsce cieniom ludzi i zwierząt, których oddech czuli na twarzach. Jeanlin, biegnący boso za swym pociągiem, krzyknął im nad głowami jakąś złośliwą uwagę, której jednak w zgiełku toczących się po szynach wózków nie dosłyszeli. Szli ciągle naprzód, a Stefan nie mógł rozpoznać drogi, którą szedł rano. Zdawało mu się, że zstępuje coraz głębiej pod ziemię. Najbardziej mu się teraz dawało we znaki zimno, ciągle wzrastające zimno, które przeniknęło go już zaraz po wyjściu ze sztolni. Drżał coraz bardziej w miarę zbliżania się do hali wjazdowej. Wąskim korytarzem dał wicher lodowaty z siłą huraganu. Już zwątpił, czy dojdzie kiedy do końca galerii, gdy nagle znaleźli się w hali.

Chaval spojrzał na nich podejrzliwie. Stali tu wszyscy

przepoceni, drżąc od zimna, w milczeniu pasując się z gniewem. Przyszli za wcześnie i nie chciano ich wyciągnąć aż za pół godziny, tym więcej, że wszyscy u windy zajęci byli trudną pracą spuszczenia na dół konia. Ładownicy wsuwali wózki do klatek ze strasznym łoskotem i klatki znikwały w czarnym otworze, z którego lała się strumieniami woda, wpadając do zbiornika, to jest do wielkiej, dziesięć metrów głębokiej studni, skąd rozchodziły się wilgotne wyziewy po całej hali.

Dokoła szachtu biegali bez przerwy ludzie, ciągnęli za sznury sygnałowe, naciskali drągi dźwigni, nic sobie nie robiąc z unoszącego się w powietrzu gęstego pyłu wodnego, który przemaczał ubranie. Trzy ogromne lampy rzucały oślepiające smugi światła na wielkie, ruchome cienie i nadawały hali wygląd piekła czy kuźni potwornych bandytów założonej u stóp wodospadu.

Maheu spróbował po raz ostatni, czy mu się nie uda wydostać na wierzch, i zbliżył się do Pierrona, który rozpoczął swą służbę o szóstej.

– Słuchaj no, mógłbyś kazać nas wyciągnąć.

Ale Pierron, ładny, silny chłopak o łagodnym wyrazie twarzy, zrobił gest odmowny i spojrzał nań z przestachem.

– Niemożliwe! Proś dozorczy... dostałbym karę.

Znowu głuchy pomruk przebiegł szeregi czekających, Katarzyna zbliżyła się do Stefana i szepnęła mu w ucho:

– Chodź, pokażę ci stajnię! Tam ciepło.

Do stajni nie wolno było chodzić, więc musieli iść tam

ukradkiem. Znajdowała się ona na końcu długiego korytarza. Miała dwadzieścia pięć metrów długości, cztery wysokości, wykuta była w skale i wymurowana. Mogła pomieścić około dwudziestu koni. Miło tam było istotnie i ciepło od ciał końskich, pachniała czysta mierzwa¹⁵, jedyna lampa spokojnym światłem oblewała drzemiące u żłobów zwierzęta. Na odgłos kroków wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, a kilkanaście par wielkich, dziecięcych oczu spojrzało z ciekawością na wchodzących. Potem konie zwróciły się znowu do swego owsa, powoli, bez pośpiechu, jako dobrze odżywiani pracownicy, którym nie zbywa na niczym.

Katarzyna odczytywała głośno imiona koni wypisane na cynowych tabliczkach ponad żłobami. Naraz wydała okrzyk przestrachu na widok podnoszącej się z mierzwy jakiejś postaci. Była to Mouquette. Spała tutaj od dwu godzin przeszło i zerwała się teraz na równe nogi. Co poniedziałku, czując się po niedzielnych wybrykach zbyt zmęczona, by pracować, dawała sobie potężnego szturchańca pięścią w nos i gdy krew płynąć poczęła, opuszczała wózki, by ją zatamować. Pod tym pozorem kryła się w stajni, zagrzebywała w ciepłą mierzwę i spała aż do ukończenia dnia roboczego. Ojciec jej, bardzo pobłażliwy dla córki, nie bronił jej tego, chociaż obawiał się kary.

Właśnie wszedł do stajni stary Mouque. Był to wiekowy, mały, łysy, spracowany człowieczek. Dziwne było, że tuszę

¹⁵ *mierzwa* – słoma, którą rzuca się pod nogi koni w stajni, aby utrzymać czystość.
[przypis edytorski]

posiadał znaczną, rzecz niezwykłą u górnika, który pracował w kopalni już od pięćdziesięciu lat. Od czasu, gdy został stajennym, przyzwyczaił się tak bardzo do żucia tytoniu, że mu od tego aż dziąsła krwawiły.

Ujrawszy Katarzynę i Stefana obok swej córki rozgniewał się.

– Czegóż tu chcecie? Dalej! Marsz! Wynosić mi się. A to dranie, sprowadziły sobie chłopca! To byłoby ładnie, gdybym wam pozwolił gzić się tu na mojej słomie! Dalej, wynoście się!

Mouquette poczęła się śmiać, tak że aż się za boki trzymała. Posadzenie starego wydało jej się komiczne. Katarzyna uśmiechnęła się do Stefana, ale on był zmieszany i prędko wyszedł ze stajni. Gdy wszyscy troje znaleźli się znowu u windy, spotkali tam też Jeanlina z pociągiem. Nastąpiła mała przerwa w pracy, spowodowana załadowaniem wózków do klatki, a Katarzyna korzystając z tego zbliżyła się do konia, pogłaskała go i poczęła opowiadać jego dzieje Stefanowi. Był to Bataille, najstarszy koń kopalni, siwek, który od dziesięciu już lat nie widział słońca. Od tak długiego czasu zajmował ten sam kąt w stajni, spełniał tę samą pracę w ciemnych krużgankach i dobrze mu się powodziło. Był bardzo tłusty, sierść na nim połyskiwała i miał dobrotliwą minę mędrca żyjącego tutaj w cichości z dala od wszystkich cierpień i dolegliwości, prześladowających konie na powierzchni ziemi. Bataille stał się tutaj w ciemności bardzo przebiegły i inteligentny. Poznał z biegiem czasu galerię, w której pracował, tak dokładnie, że otwierał głową drzwi od wentylu,

pochyłał się w miejscach niskich, by nie uderzyć o sklepienie, a nawet niewątpliwie umiał liczyć także, ile razy nawracał, gdyż dokonawszy swej pracy dziennej nie chciał ciągnąć dłużej i musiano go odprowadzić do żłobu. Ale postarzał się już i teraz kocie jego, widzące w ciemności oczy zachodziły często mgłą melancholii. Może marzył mu się młyn pod Marchiennes, gdzie się urodził, brzegi Skarpy, zielone łąki i drzewa kołysane podmuchem wiatru. Coś wówczas paliło się na niebie, jakaś wielka lampa... Ale nie mógł sobie dokładnie tego przypomnieć, zwierzęcą jego pamięć przysłonił opar lat odległych. Stał ze spuszczoną głową, drżąc na starych nogach, i czynił daremne wysiłki, by sobie jasno uświadomić, jak wygląda słońce.

Tymczasem w szachcie zjazdowym ukończono rozliczne przygotowania, sygnał uderzył cztery razy, poczęsto spuszczać konia. Robiło to zawsze wrażenie i zaciękało wszystkich. Często zdarzało się, że zwierzę tak się przeraziło, iż dochodziło na dół nieżywe. Na górze zawiązywano konia do wielkiej sieci, kopał zrazu z rozpaczą, potem czując, że mu brak pod nogami stałego gruntu, drętwiał i jak skamieniały, bez drgnienia zapadał się pod ziemię, wpatrując się tylko w ciemności szeroko rozwartymi oczyma. Tym razem zwierzę było za wielkie, by prześlizgnąć się przez rusztowanie szachtu, musiano mu więc przekręcić na bok głowę i przywiązać w tej pozycji u spodu klatki, gdzie też uczepiono sieć. Zjazd trwał blisko trzy minuty. Przez ostrożność maszyna szła pomału i to wywołało na dole wielkie podniecenie. Cóż się stać mogło, pytano dokoła? Czyż

może zaczepił się gdzie i zawisnął tak między ziemią a niebem w ciemnościach? Nareszcie ukazał się skrepowany, zdrętwiały ze strachu, z oczyma wychodzącymi z orbit. Był to kasztan trzyletni zaledwie, ochrzczony imieniem: Trompette.

– Baczność! – krzyknął ojciec Mouque, który miał polecenie objąć go w swą opiekę. – Przysuńcie go tu... Nie rozwiązuje jeszcze.

Niebawem biedny Trompette leżał jak martwa masa na kamiennej podłodze. Nie ruszał się. Ta wielka czarna dziura w górze, ta nieskończenie długa droga przez ciemności, wreszcie wielka, jasna, hałaśliwa hala, wszystko wydało mu się strasznym snem.

Poczęto go rozwiązywać, gdy Bataille, którego właśnie odprzęgnięto, podszedł i wyciągnął szyję, by obwąchać towarzysza spuszczonego tu z powierzchni ziemi. Robotnicy rozstąpili się ze śmiechem. Cóż to pachniało tak od Trompette? Ale Bataille głuchy na drwiny parskął i obwąchiwał go dalej. Tak, bez wątpienia pachniało świeże, zdrowe powietrze, kwiaty oblane promieniami słońca, o jakże dawno nie wąchał ich Bataille! Stary siwek podniósł głowę i zarżał radośnie, ale w głosie jego czuć było zarazem utajone łkanie. Pozdrawiał towarzysza doli, cieszył się wspomnieniem czegoś dawno zapomnianego, co wdarło się tutaj w głąbię ziemi wraz z przybyszem, i opłakiwał go, wiedząc, że już nie ujrzy słońca... nigdy.

– Ach, ta bestia Bataille! – wołali robotnicy. – Słuchajcie

no, jak to on rozmawia z kolegą! – I śmiali się rozweseleni komicznym zachowaniem się ulubieńca.

Trompette nie ruszał się jeszcze, choć był zupełnie wolny. Czuł widać dotąd sznury, krępujące go ze wszystkich stron, i bał się jeszcze. Brutalny cios bicia postawił go na nogi. Stał teraz i drżał na całym ciele. Ale ojciec Mouque nie bawiąc się dłużej zabrał oba konie, zawierające ze sobą znajomość, i zaprowadził je do stajni.

– No, teraz my? – spytał ojciec Maheu.

Ale jeszcze nie mogli wyjeżdżać. Musiano winę opróżnić z wózków, a przy tym brakowało jeszcze dziesięciu minut do czasu wyjazdu. Powoli opróżniały się wszystkie sztolnie, z wszystkich chodników schodzili się górnicy grupami. Było ich już około pięćdziesięciu, wszyscy spotniali i drżący czekać musieli w hali, gdzie hulał lodowaty wiatr i można było bardzo łatwo dostać zapalenia płuc. Pierron, tak dobrodusznie wyglądający Pierron, dał w twarz swej córce Lidii za to, że opuściła sztolnię na chwilę przed końcem pracy. Zachariasz ukradkiem uszczypnął Mouquette, tak że rozczzerwieniła się zaraz. Niezadowolenie wzrastało z każdą chwilą i doszło do swego kulminacyjnego punktu, gdy Levaque i Chaval powiedzieli o pogroźce inżyniera, że dyrekcja będzie płaciła osobno stemplowanie stropu, zniżając w zamian płacę od wózka. Wykrzyki oburzenia przywitały tę nowinę i zdawało się, że lada chwila wybuchnie tu, sześćset metrów pod ziemią, otwarty bunt. Wrzawa rosła. Już nie krępowali się teraz biedacy spotniali, okryci warstwą węgla,

złodowaciali z zimna i oskarżali głośno dyrekcję, że dąży do tego, by połowę robotników pozbawić życia tu w głębi, a drugą połowę na jej powierzchni zamorzyć głodem. Stefan słuchał przejęty grozą.

– Prędejj! Prędejj! – wołał nadzorca Richomme na ładowniczych.

Chciał przyspieszyć wyjazd. Nie chciał występować surowo wobec robotników i udawał, że nie słyszy. Ale w końcu wykrzyki stały się tak głośne, że musiał wdać się w to. Rozległy się już pogrożki, że tak dalej iść nie może i że lepiej całą mordownię wysadzić dynamitem w powietrze.

– Tyś stary – rzekł do Maheu – i rozumny, każ im więc, by milczeli. Gdy się nie jest silniejszym, trzeba być mądrzejszym.

Ale Maheu, którego gniew opuścił a obsiadła troska, nie potrzebował zachęcać do spokoju. Głosy nagle zamilkły. Z bocznego chodnika wyszli Négrel i Dansaert wracający z inspekcji. Dyscyplina sprawiła, że robotnicy rozstąpili się tworząc szpaler, którym przeszedł inżynier nie wyrzekłszy ni słowa. Wsiadł do próżnego wózka, nadzorca do drugiego, sygnał uderzył pięć razy, co znaczyło *gruba zwierzyna*, wyrażenie utarte o przełożonych. Wśród ponurego milczenia klatka wzniosła się w górę i znikła w czeluści szachtu.

VI

Skulony w klatce wraz z czterema innymi, Stefan postanowił rozpocząć na nowo żywot wagabundy włóczącego się po gościńcach o głodzie. Raczej zginać z głodu, myślał, jak wracać do tego piekła, gdzie zarobić nie można nawet na chleb powszedni. Nie było teraz koło niego Katarzyny, nie czuł miłego, kojącego ciepła. Siedziała ponad nim w jednym z wózków. Tak, tak, zamiast myśleć o głupstwach, lepiej iść stąd precz. Czuł, że ze swym wyższym wykształceniem nigdy nie potrafi zdobyć się na rezygnację, jaką posiada ta trzoda ludzka, i że prędzej czy później rozwali łeb któremu przełożonemu.

Nagle oślepiło go światło. Winda biegła z taką szybkością, że nie spostrzegł się, gdy już był na powierzchni ziemi. Oślepiiony jasnością, od której odwykł już, mrugał powiekami. Ale wielką pociechą było dlań, gdy usłyszał, że haki klatki zabiły się w drzewo. Po chwili chłopak otworzył drzwi i Stefan wyszedł wraz z innymi z szachtu.

– Hej, Mouquet¹⁶ – odezwał się Zachariasz do syna starego stajennego, który stał w pobliżu. – Pójdziemy dziś do Wulkanu?

Wulkan, była to kawiarnia w Montsou, gdzie się odbywały koncerty. Mouquet przymrużył lewe oko i uśmiechnął się w milczeniu, potem zrobił mały grymas. Mały, gruby jak ojciec i

¹⁶ *Mouquet* – syn pana Mouque; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca. [przypis edytorski]

siostra, miał zadarty nos i minę chłopaka, który trwoni zarobiony grosz, nie troszcząc się o jutro. Właśnie ukazała się Mouquette, a brat na powitanie pchnął ją pięścią w plecy.

Stefan ledwie mógł rozpoznać halę kontrolną, której wysokie rusztowanie wyglądało rano przy mdłym świetle latarni tak niepokojąco. Była pusta i brudna. Słabe światło dnia przesiewało się przez zapyłone okna. Jedna tylko maszyna połyskiwała jak srebro i złoto, stałą i mosiadzem swych części składowych, liny zaś obmazane czarnym tłuszczem wyglądały jak długie wstęgi zanurzone w atramencie. Wszystko zresztą, bębny umieszczone wysoko i podtrzymujące je potężne żelazne rusztowanie, winda, wózki, wszystko miało kolor mdły, szary, starego żelaziwa. Bez przestanku podłoga trzęsła się od uderzeń kół, zaś z miejsca, gdzie wysypywano wyciągnięty węgiel w celu przewiezienia go dalej, wznosił się słup czarnego, ciężkiego pyłu, który osiadał na ziemi, murach, narzędziach, na wszystkim aż do samego szczytu wieży szachtowej.

Chaval tymczasem spojrzał na rejestr umieszczony w oszklonej budce kontrolera i wrócił zapieniony z gniewu. Przekonał się tam, że strącono im dwa wózki, jeden z powodu, że nie był dostatecznie napełniony, drugi, ponieważ zawierał węgiel nie całkiem wolny od złomków skalnych.

– Ładny dzień mamy dziś! – wrzeszczał. – Jeszcze o dwadzieścia sous mniej! Ale dobrze nam tak... po cóż brać włóczęgów, próżniaków, którzy ruszają rękami jak świnia ogonem.

Spojrzeniem zjadliwym na Stefana uzupełnił swą przemowę.

Stefan w pierwszej chwili miał zamiar odpowiedzieć pięścią, ale pomyślał, że nie warto, bo wszak i tak ma sobie iść precz. To utwierdziło go tylko w postanowieniu.

– Nie można od pierwszego zaraz dnia wszystkiego robić doskonale! – łagodził ojciec Maheu dla miłego spokoju. – Jutro będzie robił lepiej.

Ale we wszystkich wrzało i wzrastała chęć do kłótni. W lampiarni, przy oddawaniu lamp Levaque pokłócił się z robotnikiem zapalającym je o to, iż lampy umyślnie źle czyści. Uspokoili się dopiero w ogrzewalni, gdzie ciągle palił się ogień. Musiano nawet za wiele dosypać węgla, gdyż piec rozżarzony był strasznie, a wielka izba bez okien oblana była jaskrawą łuną, jakby się paliły jej brudne mury. Rozległy się okrzyki weselsze, wszyscy smażyć sobie poczęli plecy stojąc dokoła w pewnej odległości od pieca i kurzyło się z nich jak z garnków. Gdy któregoś poczęło zbytnio palić w plecy, obracał się i nadstawiał brzuch. Mouquette w prostocie ducha spuściła spodnie i suszyła sobie koszulę. Chłopcy poczęli tłuste¹⁷ żarty i rozległ się chóralny śmiech, gdy zniecierpliwiona odwiodła się i pokazała im tyłek, co było u niej gestem najgłębszej pogardy.

– Idę! – rzekł Chaval, zamknawszy w szafie narzędzia. Nikt się nie ruszył z miejsca prócz Mouquette, która się wyslizgnęła szybko pod pozorem, że idzie w tę samą stronę, to jest do Montsou. Żartowano sobie z niej dalej, gdyż wiadano, że

¹⁷ *tluste* – tu: pikantne. [przypis edytorski]

Chwał nie chce już nic z nią mieć do czynienia.

Tymczasem Katarzyna powzięła pewną myśl i od chwili już szeptała coś do ucha ojcu. Stary zdumiał się naprzód, potem jednak kiwnął głową na znak zgody, zawołał Stefana i rzekł półgłosem oddając mu zawiniątko, które wyjął z szafy.

– Słuchaj no pan, jeśli nie masz grosza w kieszeni, to możesz łatwo, nim nadejdzie wypłata, umrzeć z głodu. Czy chcesz, abym ci gdzieś wyrobił kredyt?

Przez chwilę chłopak stał niemy, zmieszany. Właśnie chciał zażądać swoich trzydziestu sous i iść precz. Ale w obecności Katarzyny uczynić tego nie śmiał. Wstydził się, czując jej wzrok na sobie. – Może pomyśli, że boję się pracy – myślał.

– Rozumie się, na pewne obiecywać nie mogę niczego – mówił stary dalej – musimy być przygotowani na odmowę.

Stefan nie zaprzeczył. Był pewny odmowy. Zresztą to przecież do niczego nie obowiązuje, przełknie coś i pójdzie sobie. Ale opanowało go niezadowolenie, gdy dostrzegł wesoły uśmiech Katarzyny, uradowanej, iż mu pomogła. I na cóż to wszystko?

Ubrawszy się w saboty i zamknawszy narzędzia w szafie, Maheu ze swoimi skierował się ku wyjściu, robiąc z kolei miejsce innym, którzy przychodzili się rozgrzać. Stefan szedł za nimi, a Levaque z synem przyłączyli się także. Ale jeszcze nie minęli sortowni, gdy gwałtowna scena wstrzymała ich na chwilę.

Sortownia była to wielka szopa o belkowaniu pokrytym grubą warstwą pyłu węglowego i wielkich żaluzjach, przez które dął ciągle wiatr. Wózki z węglem wprost od kontrolera dostawały

się tutaj. Pomocnicy wysypywali ich zawartość na skośne, długie, blaszane rynny, a stojące na podwyższeniach kobiety i dziewczęta uzbrojone w grabie i gracie wydobywały kamienie, posuwały dalej czysty węgiel, który przez ogromne lejki spadał w wagony kolejowe, stojące na torze poniżej sortowni.

Pracowała tu Filomena Levaque, blada, chora na suchoty dziewczyna, o głupim wyrazie twarzy. Głowę miała owiniętą szafirową chustką, ręce uczernione w węglu aż po łokcie i stała obok starej czarownicy, matki pani Pierron, zwanej **Brûlé**, strasznie wyglądającej ze swymi sowimi oczyma i ustami zaciśniętymi jak sakiewka skąpca. Wściekłe były obie na siebie. Młoda oskarżała starą o to, że jej zabiera sprzed nosa kamienie, tak że nie może ani co dziesięć minut napełnić kosza. Płacono je od kosza i to było powodem bezustannych kłótni. Wydierały sobie codziennie garściami włosy, na zaczerwienionych twarzach zostawiały czarne odciski rąk, policzkując się zapamiętale.

– Rozbij jej czerep! – krzyknął przechodząc Zachariasz do swej lubej.

Wśród robotnic rozległy się okrzyki potakiwania. Ale Brûlé rzuciła się jak furia na chłopca.

– Słuchaj, smarkaczu, lepiej byś zrobił, uznając swoje dwa bękarty, któreś jej zmajstrował. Śliczna żonka.. taka glista, która w osiemnastu latach nie może się utrzymać na nogach... ha, ha, ha!

Maheu musiał z całej siły trzymać syna, który chciał koniecznie temu staremu kościotrupowi pokazać co należy.

Zjawił się dozorca, gracie poczęły znowu poruszać się miarowo, rozgarniając węgiel, i z góry nie widać było teraz nic prócz pochylonych pleców kobiet, wysilających się na to, by sobie wzajem porywać kamienie.

Pogoda się zmieniła. Wiatr ustał nagle i zimna, wilgotna mgła zawisła nisko ponad ziemią. Górnicy skulili się, pozakładali ręce na piersiach i szybko szli ku domom, kołyszając się w biodrach, co uwydatniało jeszcze bardziej grube kości okryte lekką tylko materią ubrania. Przy jasnym dniu można by ich było wziąć za gromadę Murzynów, którzy się nurzali w błocie. Niektórzy nie zjedli swych **kanapek** i teraz resztki jedzenia wsunięte pomiędzy koszulę i kaftan na plecach nadawały im wygląd garbatych.

– Patrzcie, idzie Bouteloup! – rzekł ze śmiechem Zachariasz.

Levaque, nie zatrzymując się, zamienił kilka słów ze swym lokatorem, wysmukłym, ciemnowłosym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną, o spokojnym, uczciwym wyrazie twarzy.

– Czy zupa gotowa, Ludwiku?

– Tak, zdaje się.

– A żona moja w dobrym humorze?

– Tak, zdaje się w dobrym.

Spotkali grupy górników i robotników ziemnych, którzy szli do pracy. Mijali ich i niknęli w bramie kopalni. Zjeżdżali o trzeciej, w większej jeszcze liczbie jak robotnicy ranni. Byli to robotnicy na zmianę, przeznaczeni do zastąpienia tamtych przy robotach ziemnych w głębi. Kopalnia nie świętowała nigdy, w

dzień i w nocy chmary ludzkich robaków wierciły wewnątrz ziemi w głębokości sześciuset metrów pod polami burakowymi.

Młodzi poszli przodem. Jeanlin tłumaczył Bébertowi kunsztowny plan zmierzający do tego, by dostać na kredyt tytoniu za cztery sous. Lidia pełna szacunku dla ich pomysłowości szła w milczeniu, a za nią Katarzyna z Zachariaszem i Stefanem.

Milczeli wszyscy. Dopiero u drzwi kantyny **Pod nadzieją** dogonili ich Levaque i Maheu.

– No, jesteśmy na miejscu – rzekł Maheu do Stefana – wejdź pan.

Rozłączono się. Katarzyna stała przez chwilę bez poruszenia i patrzyła na chłopca swymi łagodnymi oczyma. Uśmiechnęła się i znikła wraz z innymi na drodze wiodącej na wzgórze, gdzie leżała kolonia robotnicza.

Kantyna stała pomiędzy wsią i kopalnią na rozdrożu. Był to dwupiętrowy budynek z cegły, pobielony od góry do dołu i ozdobiony szerokim niebieskim obramieniem okien. Na drewnianym szyldzie wiszącym ponad drzwiami wypisane było żółtymi literami: **Pod nadzieją, kantyna Rasseneura**. Z tyłu poza domem była kręgielnia obsadzona żywopłotem. Kompania uczyniła wszystko, co było w jej mocy, by kupić ten mały skrawek gruntu, wciskający się klinem w jej obszerne posiadłości i wściekała się na kantynę sterczącą beczelnie tutaj, pośród pól, u samego niemal wejścia do Voreux.

– Wejdź pan! – powtórzył Maheu, zwracając się do Stefana.

Szynkownia była ciasna i pusta, o ścianach nagich, białych. Niczego tu nie było prócz trzech stolików, tuzina krzeseł i małego bufetu z jodłowego ciemno lakierowanego drzewa. Na bufecie stało może z dziesięć kufli, trzy flaszki z wódką, karafka z wodą i mały cynowy rezerwuar z kurkiem. Prócz tego nie było nic. W żelaznym polerowanym i błyszczącym piecyku palił się słaby ogień, deski podłogi wysypano białym piaskiem, w który wsiąkała wilgoć ustawicznie wodą ociekającego gruntu tych okolic.

– Kufel dla mnie! – rozkazał Maheu wysokiej jasnowłosej dziewczynie, sąsiadce, posługującej tu czasem. – Czy Rasseneur w domu?

Dziewczyna odkręciła kurek i powiedziała, że pan zaraz nadejdzie. Powolnym, długim haustem wychylił Maheu do połowy szklanę, by splukać pył obsiadający mu gardło. Nie poczęstował swego towarzysza. Prócz nich był tu jeden jeszcze tylko górnik. Siedział przy drugim stoliku pogrążony, jak się zdawało, w głębokim rozmyślaniu i pił powoli piwo. Trzeci wszedł, uczynił gest, dostał kieliszek wódki i wyszedł bez słowa.

Ale za chwilę ukazał się wysoki mężczyzna około trzydziestu ośmiu lat, o pełnej, starannie ogolonej twarzy, dobrotliwie uśmiechniętej. Był to Rasseneur, dawniej hajer oddalony trzy lata temu przez Kompanię skutkiem strajku. Był dobrym robotnikiem, umiał mówić, ujmował się za pokrzywdzonymi robotnikami i został niebawem przywódcą malkontentów. Żona jego, jak wiele żon górników, miała mały szynk, toteż Rasseneur,

gdy go wypędzono, został szynkarzem, uciulał trochę grosza, resztę dokończył i wystawił kantinę niemal u wrót Voreux. Było to swego rodzaju wyzwanie pod adresem Kompanii. Przedsiębiorstwo rozkwitło w krótkim czasie, a Rasseneur stał się doradcą pokrzywdzonych, rozżarzał ich gniew i bogacił się na tym.

– Oto młody człowiek, którego zgodziłem dziś rano – zaczął prosto z mostu Maheu. – Czy masz wolną stancję i czy chcesz mu udzielić dwutygodniowego kredytu?

Pełna twarz Rasseneura przybrała od razu pełen nieufności wyraz. Obrzucił Stefana podejrzliwym spojrzeniem i odparł, nie starając się nawet usprawiedliwić odmowy.

– Oba moje pokoje gościnne zajęte, nie mogę.

Stefan spodziewał się tego, mimo to jednak zabolęła go odmowa. Nagle żal mu było odchodzić stąd. Zdziwił się, skąd się ten żal wziął. No, mniejsza z tym, pójdzie, gdy tylko dostanie swoje trzydzieści sous. Górnik pijący przy drugim stoliku poszedł. Inni wchodzili jeden po drugim po to tylko, by sobie popłukać gardło, i wynosili się zaraz ociężałym krokiem. Nie było w tym żadnej ochoty, żadnej przyjemności ni namiętności. Ot proste spełnienie potrzeby, o czym i mówić nie warto.

– Co słyszać? – spytał tajemniczym tonem Rasseneur ojca Maheu, który kończył powoli piwo.

Maheu obejrzał się dokoła i widząc, że prócz Stefana nie ma nikogo, rzekł:

– To słyszać, że znowu była kłótnia... o stemplowanie!

Opowiedział wydarzenie. Twarz szynkarza zaczerwieniła się, krew mu uderzyła do głowy, a oczy poczęły błyskać. Wybuchnął w końcu:

– Dobrze, dobrze, niech tylko spróbują zniżyć płace... już po nich!

Nie na rękę mu była obecność Stefana. Mówił dalej, ale rzucał nań często ukradkowe spojrzenia. Mówił zawile, opisywał, obchodził, natrącał, mówił o dyrektorze, panu Hennebeau, jego żonie, siostrzeńcu, małym Négrelu, nie wymieniając jednak nazwisk. Zapewniał, że tak dalej być nie może, bo prędzej czy później musi nastąpić katastrofa. Nędza przeszła wszelką miarę. Wyliczał fabryki, które zawiesiły czynności, tłumy robotników, które rozbiegły się za pracę. Od miesiąca rozdawać musi więcej jak sześć funtów chleba dziennie. Niedawno doniesiono mu, że pan Deneulin, właściciel sąsiedniej kopalni, zbankrutuje lada dzień. Wreszcie przed paru dniami dostał z Lille list pełen niepokojących wieści.

– Wiesz – szeptał – od tego człowieka, któregoś tutaj raz wieczorem widział...

Przerwano mu. Weszła do sklepu żona, wysoka, sucha, popędliwa kobieta o długim nosie i sinawych policzkach. Była w polityce dużo radykalniejsza od męża.

– List od Plucharta! – powiedziała. – O, gdyby on przyszedł do władzy, poczęłoby się dziać inaczej.

Stefan nadśłuchiwał od chwili, zrozumiał o co idzie i na myśl o nędzy i możliwości zemsty rozpałił się sam. Na dźwięk tego

nazwiska zadrżał. Potem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, powiedział głośno:

– Znam Plucharta.

Wszyscy spojrzeli nań, musiał więc dodać:

– Tak, jestem maszynistą, on był moim przełożonym w Lille. Rozumny człowiek, często z nim rozmawiałem.

Rasseneur obejrzał przybysza po raz drugi od stóp do głowy i twarz jego przybrała całkiem inny wyraz. Pojawiło się na niej współczucie. Wreszcie rzekł do żony:

– Maheu przyprowadził tego pana, który jest chwilowo jego przesuwaczem. Pyta, czy nie mamy wolnego pokoju na górze i czy możemy mu otworzyć rachunek na przeciąg czternastu dni.

Sprawę załatwiono potem w dwu słowach. Był wolny pokój. Lokator właśnie dziś rano wyjechał. Teraz gospodarz puścił wodze swej wymowy i dał wyraz oburzeniu, chociaż ciągle powtarzał, że nie żąda od pracodawców rzeczy niemożliwych do spełnienia, jak tylu innych, którzy chcą nie wiedzieć czego. Żona wzruszyła ramionami, ona chciała wszystkiego.

– Dobranoc! – powiedział Maheu, przerywając jej litanie. – Wszystko to nie zmieni faktu, że ludzie będą się spuszczać do kopalni, a jak długo to nie ustanie, muszą marnieć... Przejrzyj się, Rasseneur, w lustrze i przekonaj się, jakeś się zmienił od czasu, gdyś zerwał z tym wszystkim.

– To prawda, przyszedłem trochę do siebie! – przyświadczył gospodarz.

Stefan odprowadził wychodzącego ojca Maheu do drzwi

i podziękował mu. Stary potrząsnął głową i wyszedł bez słowa, a Stefan widział go jeszcze długo idącego w górę ku kolonii ociężałym krokiem. Pani Rasseneur zmuszona właśnie obsługiwać gości poprosiła, by się chwilę wstrzymał, a zaraz zaprowadzi go do komórki, gdzie będzie się mógł umyć.

Wahał się teraz znowu, czy ma zostać. Opanował go nagle żal za swobodną włóczęgą po świecie, za głodem nawet, byle na powietrzu, w blaskach słońca, za niezależnością i tym nieokreślonym poczuciem, że nikt nie ma prawa niczego mu nakazać, do niczego zmusić. Wydało mu się, że upłynęły już całe lata od jego przybycia na pobliski wzgórek w ciemną wietrzną noc, do godzin spędzonych pod ziemią w niewygodnej pozycji przesuwacza. Czuł odrazę do podjęcia tej pracy na nowo, była ona za twarda, za okrutna. Cała jego duma męska burzyła się na myśl, że będzie musiał żyć tam w ciemnościach jak zwierzę, które oślepieno po to, by je deptać nogami.

Stefan rozmyślał, a oczy jego błądziły po niezmierzonej płaszczyźnie. Po chwili począł spoglądać z zaciekawieniem. Zdumiał się. Tak sobie nie wyobrażał okolicy wówczas, gdy Bonnemort wskazywał mu w ciemnościach różne punkty. Przed nim w zagłębiu leżała Voreux ze swymi drewnianymi i murowanymi budynkami, obciążniętymi dziegciem sortowniami, wieżą krytą łupkiem, halą maszyn i chaosem natłoczonych na małej przestrzeni przeróżnych zabudowań, smutno i brzydko wyglądających. Ale dokoła tych budowli ciągnął się prostokąt, którego rozmiary wprawiły

patrzącego w zdumienie. Wyglądało to na jezioro atramentu, widać było nawet niby fale ułożone nierówno zaspasy węgla, dokoła nich sterczały wysokie rusztowania dźwigające kładki, a w jednym kącie widniały zapasy drzewa. Zdawało się, że ściąć musiano chyba całe mile lasu, by nagromadzić tyle kłoców. Od prawej strony wielkie usypisko miało skalnego i węglowego zapierało widok. Była to niby niezmierna, przez olbrzymów usypana barykada. Starsze jej partie porastała rzadka trawa, drugi zaś koniec palił się już od roku. Buchał też stamtąd ciągle gęsty dym i pojawiały się na powierzchni złożonej z odłamków łupku i grubego gruzu piaskowcowego czerwone żyłki ognia. Dalej widniały olbrzymie pola pszeniczne i burakowe, nagie o tej porze roku, jeszcze dalej bagna, pokryte przegniłym szuwarem, tu i ówdzie płoty łożowe i wreszcie na skraju horyzontu wielkie pastwiska pocięte liniami cienkich topól. Białe, małe plamki w wielkiej dali wskazywały na północy miasto Marchiennes, na południu Montsou, a od wschodu las Vandame obrzeżał horyzont fioletową linią swych bezlistnych drzew. Na wszystkim leżała brudna mgła, ciążyło pochmurne niebo i zdawało się, w półświecie zimowego południa, jakoby cały węglowy pył Voreux przypadł na tę ogromną równię zasnuwając czarną powłoką drzewa, drogi i całą ziemię.

Stefan patrzył i najbardziej zdumiał go kanał, którego w nocy nie dostrzegł.

Ujęto w sztuczne brzegi rzekę Skarpę i kanał ten ciągnął się w prostej linii z Voreux do Marchiennes, dwie mile długą

taśmą srebrną pośród dwu szeregów drzew, drzew wysokich, sterczących ponad niskie wały brzegów. Była to droga wodna, gościniec handlowy, a na bladoniebieskiej wodzie odcinały się ostro czerwone dzioby cynobrem pomalowanych łodzi. W pobliżu kopalni znajdował się plac do naładowywania ze stojącymi na kotwicy statkami pontonowymi, na które ładowano węgiel wprost z wózków, zataczając je po pomostach. Kanał załamywał się w tym miejscu i biegł dalej poprzez bagna, a ta ciągnąca się geometryczną linią nie wody zdawała się być jedyną arterią życia całej nagiej równi... wielkim gościńcem, którym wywożono stąd węgiel i żelazo.

Oczy Stefana od kanału zwróciły się ku leżącej na płaskowzgórzu kolonii robotniczej, której jedynie czerwone dachy widać stąd było, potem poszły ku Voreux i zatrzymały się w dole na urwisku gliniastego gruntu, obok którego widniały dwa olbrzymie czworoboki nagromadzonych cegieł, które tutaj wyrabiano i wypalano na miejscu. Odnoga kolei, będącej własnością Kompanii, biegła wtedy ku kopalni osłonięta drewnianym parkanem. Tamtędy zjeżdżali zapewne robotnicy ziemni. Wagon popychany przez kilku ludzi turkotał i skrzypiał po szynach i to był jedyny odgłos, jaki pochwycić można było uchem. Okolica przestała być teraz dla Stefana niezbadaną ciemnością, z której dochodził dziwny grzmot i błyskało światło nieznanych, czerwonych gwiazd. Piece pierścieniowe i baterie koksowe przygasły już równo ze świtem i dolatywał tylko zadyszany oddech pompy parowej, płuc owego potwora, którego

czarne wnętrzości przewędrował, potwora, którego nic nasycić nie mogło.

I nagle skryształizowało się w jego mózgu postanowienie. Może chciał znowu ujrzeć niebieskie oczy Katarzyny, a może sprawiło to wydzierające się z czeluści Voreux tchnienie buntu. Nie wiedział, czuł tylko, że musi znowu znaleźć się tam na dole, że chce i musi tu cierpieć i walczyć, i z nienawiścią pomyślał o ludziach, o których opowiadał Bonnemort, o owym sytym, przyczajonym gdzieś bożyszczu, dla którego dziesięć tysięcy zgłodniałych ludzi naraża codziennie życie.

Część druga

I

Piolaine, posiadłość rodziny Gregoire, położona była o dwa kilometry na wschód od Montsou przy drodze do Joiselle. Pośrodku ogrodu stał wielki dom, nie posiadający żadnego wyraźnego stylu, zbudowany na początku minionego wieku.

Z obszernych gruntów, stanowiących dawniej część integralną Piolaine, pozostało teraz ledwo trzydzieści hektarów otoczonych murem, których uprawa nie sprawiała wiele trudności. Ogród warzywny i owocowy słynął w całej okolicy i nie miał sobie równego, natomiast brakło posiadłości parku, po którym pozostało tylko trochę drzew i krzaków. Stara lipowa aleja, wiodąca od bramy wjazdowej do drzwi domu, długa na trzydzieści może metrów, stanowiła osobliwość na tej nagiej bezbrzeżnej płaszczyźnie ciągnącej się od Marchiennes do Beaugnies.

Państwo Gregoire wstali tego dnia o godzinie ósmej, co należało do rzadkości, zwykle bowiem podnosili się o dziewiątej, namiętnie lubiąc spać długo. Zdenerwował ich silny wiatr, który dał przez całą noc. Pan Gregoire wstawszy udał się na wędrowkę dokoła domu i ogrodu, dla zbadania, czy wichura nie wyrządziła jakiej szkody, pani zaś w pantoflach i flanelowym szlafroku

poszła do kuchni. Pani Gregoire miała lat pięćdziesiąt osiem, była niska, pulchna, miała białe włosy i lalkowatą twarz, z której nie schodził wyraz zdumienia.

– Melanio – odezwała się do kucharki – ciasto gotowe, mogłabyś, jak sądzę, upiec brioszek. Panienska wstanie najwcześniej za jakie pół godziny, miałyby więc coś świeżego do czekolady. To by dopiero była dla niej niespodzianka!

Kucharka, stara, chuda kobieta, służąca od trzydziestu lat u Gregoire'ów, poczęła się śmiać.

– To prawda, to byłaby niespodzianka! Rozpaliłam jak się należy, rura gorąca. Zresztą Honorka może mi pomóc trochę.

Honorka, dziewczyna dwudziestoletnia, dzieckiem wzięta do domu i wychowana tutaj, służyła za pokojówkę, a prócz nich obu do służby domowej liczył się jeszcze stary furman Franciszek spełniający zarazem cięższe prace. Ogrodem zajmowali się ogrodnik i ogrodniczka, odpowiedzialni za owoce, kwiaty, warzywa i drób. Stosunki pracodawców ze służbą były patriarchalne i cały ten mały światek żył sobie w spokoju i miłej zgodzie.

Pani Gregoire, której w łóżku jeszcze przyszedł do głowy genialny pomysł upieczenia brioszek, została w kuchni, by widzieć, jak Melania będzie wsuwała do pieca małe, płaskowypukłe bułeczki. Kuchnia była ogromna, a jak ważną rzeczą była w Piolaine, dowodziła wzorowa czystość w niej panująca, cały arsenał rondli, garnków i garnuszków, rozlicznych naczyń i przyborów. Można było wiedzieć z góry, gdy się tu

zajrzało, że w Piolaine dobrze dawano jeść. Na półkach szafarni pełno było zapasów.

– Tylko pamiętaj je ładnie przyrumienić! – dodała pani Gregoire, wychodząc do jadalni.

Palił się tu na kominku wesoły ogień, mimo że pokój, jak i cały dom, ogrzewany był parą. Jadalnia zresztą nie miała zbytowego umeblowania. Stał tu tylko wielki stół, stoliki, kredens mahoniowy i dwa wygodne fotele świadczące, że państwo Gregoire'owie są zwolennikami wygody i dobrego, długiego trawienia. Po jedzeniu przesiadywano tu zwykle długo, nie udając się do salonu.

Niebawem wrócił i pan Gregoire. Ubrany był w ciepłą, flanelową kamizelkę, miał jak żona białe włosy i mimo sześćdziesięciu lat pogodną, rumianą twarz, o grubych rysach i dobrotliwym wyrazie. Przeprowadził właśnie konferencje z furmanem i ogrodnikiem. Wicher nie uczynił żadnej poważniejszej szkody, spadło tylko parę cegieł z komina, co można było łatwo naprawić. Pan Gregoire lubił obchodzić co rana dokoła swą posiadłość, która nie była zbyt rozległa, by mu sprawiać kłopot, a dostatecznie duża, by dać miłe zajęcie i ambicję właściciela ziemskiego.

– Gdzież Cecylka? – spytał. – Czy może nie myśli dziś wstać z łóżka?

– Doprawdy – odparła żona – pojąć tego nie mogę. Przed chwilą zdawało mi się, że słyszę ruch w jej pokoju. Pewnie się ubiera.

Nakryto do śniadania, na białym obrusie zjawiły się trzy filiżanki. Wysłano Honorkę, by dowiedziała się, co się dzieje z panienką. Wróciła zaraz i wstrzymując śmiech, oznajmiła półgłosem, jakby obawiając się, by nie dosłyszano jej słów w sypialni.

– O gdyby też wielmożny pan i pani widzieli panienkę! Śpi... śpi... jak Jezusek! Trudno sobie wyobrazić... aż radość patrzeć, jak wygląda.

Ojciec i matka zamienili czułe spojrzenia. Gregoire uśmiechnął się i rzekł:

– Chodźmy zobaczyć.

– Biedne maleństwo! – szepnęła matka. – Chodźmy!

I udali się oboje na górę. Pokój Cecylki był jedynym zbyt kownie urządzonym pokojem w całym domu. Obity był niebieskim jedwabiem i miał lakierowane białe meble pokryte materia białą w niebieski deseń. Tak obmyśliła sobie sypialnię rozpieszczona jedynaczka, a rodzice szczęśliwi byli, że mogą spełnić jej kaprys. Półświatło przysłoniętych muślinowymi firankami okien padało na białe łóżko, gdzie na haftowanej pościeli spała Cecylka, z twarzą opartą na dłoni. Nie była ładna, gdyż robiła wrażenie zanadto rozwiniętej fizycznie, niemal zapasionej i zbyt dojrzałej na dziewczynę osiemnastoletnią, ale cerę miała piękną i zdrową, ciemnobrunatne włosy i okrągłą twarzyczkę z arogancko zadartym w górę nosem. Kołdra zsunęła się, pełne już, krągłe piersi dziewczyny nie podnosiły się nawet, tak lekko oddychała.

– Ta przebrzydła burza nie dała jej pewnie zmrużyć oczu przez całą noc! – szepnęła matka.

Ojciec gestem nakazał jej milczenie. Oboje pochylili się nad śpiącą i wpatrywali się z zachwytem w tak bardzo upragnione dziecko, które przyszło na świat, gdy się go już przestali spodziewać. W ich oczach Cecylka była doskonałością i zdumieliby się, gdyby im ktoś powiedział, że jest za tłusta. Przeciwnie, oboje raczej by utrzymywali, że jest za delikatna. Dziewczyna spała dalej, nie czując spojrzeń rodzicielskich. Nagle lekka chmurka przebiegła nieruchomą jej twarz. Zadrżeli z obawy, że może się przebudzić, i wyszli z pokoju na palcach.

– Cicho! – szepnął ojciec już za drzwiami – jeśli spać nie mogła, to niech sobie powetuje teraz. Niech śpi.

– Naturalnie, jak długo tylko chce biedne maleństwo! – odparła pani Gregoire. – Zaczekamy.

Zeszli na dół, usiedli w fotelach w jadalni, a służące śmiejąc się z ciężkiego snu panienki zabrały do kuchni czekoladę. Pan Gregoire wziął do ręki dziennik, żona jego zabrała się do roboty na drutach. Pracowała nad ciepłą wełnianą kołdrą. W pokoju było ciepło i zacisznie, w całym domu panował głęboki spokój.

Majątek Gregoire'ów dawał około czterdziestu tysięcy franków dochodu i złożony był wyłącznie w akcjach kopalni Montsou. Z zadowoleniem opowiadali nieraz, w jaki sposób powstał. Stało się to już dawno, na samym początku powstania Kompanii.

Na początku minionego wieku opanowała nagle wszystkich

gorączka poszukiwania węgla na przestrzeni od Lille do Valenciennes. Powodzenie koncesjonariuszów, którzy potem założyli konsorcjum w Anzin, zawróciło ludziom w głowach. Przedsiębrano próbne wiercenia w każdej gminie i koncesje, jak grzyby po deszczu, wyrastały z dnia na dzień! Ale pośród ludzi opanowanych tą gorączką pozostawił po sobie pamięć najzagorzalszego i najdzielniejszego poszukiwacza baron Desrumeaux. Walczył bez przerwy z niegasnącym nigdy zapałem przez całe lat czterdzieści, przezwyciężając mnóstwo przeszkód. Pierwsze wiercenia dały rezultat ujemny, po kilkumiesięcznej nieraz pracy musiano opuszczać założone świeżo kopalnie, chodniki i galerie zapadały się nagle, gwałtowne wylewy podziemnych żył wodnych zatapiały robotników, setki tysięcy franków znikwały w ziemi bezpowrotnie. Zarząd miał mnóstwo kłopotów, ciągle wybuchała panika pośród akcjonariuszów, spory z właścicielami gruntów, którzy nie chcieli uznać królewskich koncesji, o ile poprzednio nie zrobiono z nimi umowy. Wreszcie doszło do skutku konsorcjum *Desrumeaux Fauquenoix et Cie* dla eksploataowania koncesji w Montsou i niebawem kopalnia poczęła dawać niewielki dochód. Ale w bardzo krótkim czasie wyrosły pod bokiem Montsou konkurentki, kopalnie w Cougny należące do hrabiego Cougny i przedsiębiorstwo *Cornille et Jenard* w Joiselle. Te dwa przedsiębiorstwa zagroziły ruiną Montsou i stałoby się to niewątpliwie, ale na szczęście dnia 24 sierpnia 1760 po długich pertraktacjach doprowadzono do ugody, wszystkie trzy

przedsiębiorstwa złąły się w jedno i założono wielkie konsorcjum *Spółka węglowa w Montsou!* W tej ostatniej formie przetrwała aż do naszych czasów.

W celu obliczenia udziałów poszczególnych wspólników wedle ówczesnej stopy monetarnej podzielono cały majątek na dwadzieścia cztery sous¹⁸, każdy zaś sou na dwanaście denarów, co razem dało 288 denarów. Że zaś każdy denar przedstawiał wartość 10.000 franków, ogólny przeto kapitał wynosił około trzech milionów franków. Desrumeaux, który leżał wówczas na łożu śmiertelnym, ale wyszedł z walki zwycięzcą, otrzymał przy podziale sześć sous i trzy denary.

Około tego czasu baron miał posiadłość Piolaine, liczącą przeszło trzy tysiące hektarów ziemi. Rządcą u niego był młody człowiek z Pikardii pochodzący, Honoriusz Gregoire. Porwany zapałem swego chlebodawcy, drząc jednak na całym ciele z obawy, że okrada swe dzieci, wyciągnął z pończochy, gdzie trzymał zarobionych około pięćdziesięciu tysięcy, 10.000 franków i kupił jeden denar kopalni. Syn jego rzeczywiście pobierał bardzo skromną dywidendę. Doszedł do pełnoletności, stracił resztę spadku po ojcu w hazardownych¹⁹ spekulacjach i żył niemal w nędzy z tych dochodów. Ale denar Montsou począł iść w górę. Niedługo pan Felicjan Gregoire ujrzał się w

¹⁸ W celu obliczenia udziałów poszczególnych wspólników wedle ówczesnej stopy monetarnej podzielono cały majątek na dwadzieścia cztery sous – dawny sou liczący 12 denarów. [przypis tłumacza]

¹⁹ hazardowny (daw.) – ryzykowny; hazardowy. [przypis edytorski]

posiadaniu pewnej sumki i mógł ziszczyć marzenie, które snuło się jeszcze po głowie dziada, mianowicie mógł kupić Piolaine, która tymczasem straciła przeważną część swych gruntów i ogłoszona za własność narodową poszła za śmiesznie niską cenę. Ale następne lata nie były pomyślne, katastrofy rewolucji, upadek Napoleona, wszystko tamowało rozwój przemysłu. Dopiero Leon Gregoire mógł obficie zbierać plony, dopiero jemu poczęły przynosić obfity zysk włożone w przedsiębiorstwo pieniądze, o które drżał pradziad i dziad jego. Nędzne 10.000 franków rosły z wzrostem przedsiębiorstwa. Od roku 1820 począwszy, dawać poczęły sto procent to jest 10.000 rocznie, w roku 1844 przyniosły 20.000, w 1856 40.000, a zdarzyło się nawet, że przez dwa lata dały po 50.000 franków.

Na giełdzie w Lille wzrósł kurs jednego denara Montsou do miliona franków, to jest w ciągu stulecia zwiększyła się stokrotnie jego wartość.

Gdy wówczas doradzano panu Gregoire, by sprzedał swój udział, uśmiechnął się pobłaźliwie i nie zgodził się. W pół roku potem nastąpił przełom i wartość denara spadła do 600.000 franków. Ale pan Gregoire dalej się uśmiechał pobłaźliwie i nie żałował, gdyż odziedziczył po przodkach ślepą wiarę w kopalnię. Pewny był, że kurs na nowo się poprawi. Sam Bóg w niebie nie był tak bezpieczny. Z nieugiętą, religijną niemal wiarą złączyła się głęboka wdzięczność dla przedsiębiorstwa, które od stu lat utrzymywało całą rodzinę, tak że żaden z jej członków nie potrzebował ni palcem ruszyć. Kopalnia stała się

dla nich bóstwem, które w egoizmie swym otoczyli wprost kultem i modlili się do niej, jako do dobroczynnej wróżki ogniska domowego pozwalającej, by gnuśnieli w wygodach i tuczyli się łakociami. Trwało to już od paru pokoleń, na cóż więc było wątpić i wyzywać los? W dodatku pan Gregoire wierzył zabobonnie, że denar zamieniony na gotówkę byłby znikł z szuflady jak kamfora. Bezpieczniejszy był on stokroć w łonie ziemi, skąd cała armia górników, całe pokolenia głodomorów codziennie wydobywały na powierzchnię ziemi trochę złota, by mu napełnić sakiewkę.

Ani słowa, wiodło się panu Gregoire. Ożenił się on w młodym wieku z córką aptekarza z Marchiennes. Była to arcybrzydka panna bez grosza, ale kochał ją, a ona odpłacała mu tę miłość i wniosła do domu niezmacone szczęście i pokój. Zatopiona w gospodarstwie domowym, ubóstwiała męża i nie miała swej woli, odgadując jedynie jego zachcenia. Nigdy nie wydarzyło się tam, by przyszło do sporu, pragnienia mieli wspólne, ideałem ich był spokój i wygoda i w serdecznych stosunkach żyli od lat czterdziestu.

Było to życie regularne, ciche, spożywali w spokoju ducha owe czterdzieści tysięcy rocznie, uskładane oszczędności wydając na zachcianki Cecylki, której późne i nieoczekiwane zgoła urodzenie zachwiało trochę równowagę budżetu. Kaprys dziewczyny był im rozkazem, kupili drugiego konia, dwa powozy, sprowadzali jej toalety z Paryża, ale doznawali przy tym niebiańskich rozkoszy, przekonani, że nic nie było za piękne i

za drogę dla ich córki. Ograniczyli tylko wydatki osobiste, do tego stopnia, że czując wstręt do stroju, pozostali wierni modzie swych lat młodych. Grzechem wydawał im się każdy wydatek, który nie był wydatkiem na Cecylkę.

Drzwi się otwarły i silny głos zawołał:

– A to co znowu? Śniadanie beze mnie?

Weszła Cecylka zaspana jeszcze, gdyż ledwo co wstała z łóżka. Zapięła tylko włosy i narzuciła szlafroczek z białej wełny.

– Ależ nie, widzisz przecież, duszko, że czekamy. Cóż? Pewnie wicher nie pozwolił ci w nocy zmrużyć oczu?

Dziewczyna spojrzała na matkę ze zdumieniem.

– Wicher?... Nic o tym nie wiem, spałam całą noc wybornie.

Wydało się jej to tak komiczne, że poczęła się śmiać. Śmiali się też ojciec i matka, śmiały się służące wnoszące śniadanie z tego, że panienka spała jak kamień przez dwanaście godzin. Twarze rozjaśniły się na dobre na widok rumianych brioszek.

– Co? Już upieczone? – zawołała Cecylka. – A to dopiero niespodzianka! Wyborne do czekolady, jeszcze gorące!

Usiedli przy stole. Czekolada w filiżankach parowała. Mówiono długi czas tylko o brioszkach. Melania i Honorka pozostały w pokoju, szeroko opisywały cały proceder pieczenia, przyglądały się, jak państwo napychali się ciastem, aż im tłuszcz ciekł z warg, wreszcie oświadczyły, że jest to prawdziwa radość piec brioszki, gdy się widzi, z jakim apetytem państwo je zjadają.

Rozległo się szczekanie psów. Zrazu mniemano, że to

nic... Pewnie tylko nauczycielka muzyki przyjeżdżająca z Marchiennes każdego poniedziałku i piątku. Dziewczyna uczyła się wszystkiego w domu, nie wiedząc nic o bożym świecie, a cała nauka dopasowana była do jej kaprysu. Toteż gdy znudził ją któryś przedmiot, wyrzucała książkę przez okno.

– Przyjechał pan Deneulin! – oznajmiła Honorka.

Deneulin zjawił się równocześnie i wszedł bez ceremonii. Był to kuzyn Gregoire'a, mężczyzna mówiący głośno, o wyrazistych, żywych gestach i zachowaniu się dymisjonowanego oficera artylerii. Mimo że przekroczył pięćdziesiątkę, krótko ostrzyżone włosy jego i broda były czarne jak węgiel.

– Tak, to ja... dzień dobry! Nie przeszkadzam?

Powitano się, Deneulin usiadł, a państwo Gregoire i Cecylka wzięli się znowu do czekolady.

– Masz może jaki interes? – spytał Gregoire.

– O nie! – odparł szybko przybyły. – Zrobiłem tylko spacer konno dla odświeżenia się i wstąpiłem, gdyż wypadła mi droga przez Piolaine.

Cecylka zapytała o jego córki, Joannę i Łucję. Miały się doskonale, Joannę trudno oderwać od malarstwa, a Łucja od rana do wieczora siedzi przy fortepianie i kształci się w śpiewie. Głos Deneulina drżał trochę lekkim rozdrażnieniem, które starał się ukryć pod pozorami hałaśliwej wesołości.

– Co słyszać w kopalni? – spytał Gregoire.

– A do stu diabłów! Ten przekłety kryzys daje mi się we znaki podobnie jak wszystkim. Trudno, musimy widać

odpokutować za lata pomyślności. Pobudowano za wiele fabryk, za wiele kolei, uwięziono olbrzymie kapitały w nadziei na szaloną produkcję. Toteż kapitał śpi i trudno dostać dość pieniędzy na sam zwyczajny ruch... No, zresztą nic nie ma straconego, wybrnę jakoś...

Deneulin, podobnie jak Gregoire, odziedziczył denar Montsou. Ale był to przedsiębiorczy inżynier, pożerała go żądza królewskiej fortuny, toteż sprzedał swój denar, gdy osiągnął kurs miliona. Przez kilka miesięcy nosił się z planem. Żona jego odziedziczyła po wuju koncesję na mały węglowy obszar w Vandame, gdzie dotąd istniały dwie niewielkie kopalnie Jean-Bart i Gaston-Marie. Ale znajdowały się obie w tak opłakanym stanie, posiadały tak nędzne urządzenia i maszyny, że eksploatacja ich ledwie się opłacała. Deneulin marzył o eksploataowaniu na wielką skalę Jean-Barta, sprawieniu maszyn i rozszerzeniu szachtu, a kopalnię Gaston-Marie chciał prowadzić w dotychczasowych rozmiarach. Był pewny, że pieniądze będą wpływać mu workami. Plan był dobry, ale właśnie kiedy włożył w instalację swój milion, nastąpił ten przeklęty kryzys. Zresztą był złym administratorem, za miękkie miał serce, nie chciał zbyt gnębić robotników, toteż urzędnicy jego, poznawszy się na tym, okradali go w straszny sposób. Od śmierci żony piekło miał w domu. Dręczyły go córki, starsza codziennie wybierała się do teatru, a obrazy młodszej trzy razy już zostały przez dyrekcję Salonu... odrzucone. Żadna z nich zresztą nic sobie nie robiła z wiszącej nad głową ojca katastrofy, mogącej pograżyć

go w nędzy, jak gdyby miał się stać nagle cud, który uczyniłby z nich osoby zdolne do pracowania na życie.

– Widzisz, Leonie – mówił kuzyn – źleś zrobił, nie chcąc sprzedać razem ze mną. Teraz wszystko diabli biorą i gdzież twoje pieniądze? Gdybyś mi był zaufał, cuda bylibyśmy wspólnie zrobili z Vandame.

Pan Gregoire dokończył spokojnie swej filiżanki czekolady i odparł:

– Za nic w świecie! Wiesz przecież, że nie myślę spekulować. Żyję sobie spokojnie i ani mi się śni trapić się interesami. Co się tyczy Montsou, to choćby akcje spadały dalej, nigdy mi przecież nie zabraknie na rzeczy najkonieczniejsze. Nie trzeba być tak chciwym. Cóż u licha? Zobaczysz jeszcze, że pożałujesz, a wnuki Cecylki będą sobie spokojnie żyły dalej z Montsou jak my.

Deneulin słuchał uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Więc nie uważałbyś za korzystne włożyć 100 tysięcy w moje przedsiębiorstwo? – spytał.

Ale widząc zaniepokojenie na twarzach Gregoire'ów pożałował pośpiechu i postanowił odsunąć pożyczkę na później, rezerwując ją sobie na ostateczną konieczność.

– O, mnie tego właściwie nie potrzeba! – dodał szybko. – Żartowałem tylko. To prawda, mój drogi, najszybciej tyje się dziś z pieniędzy, na które za nas inni pracują.

Rozmowa zesłała na inne tory. Cecylka poczęła znowu rozpytywać o kuzynki, których dziwactwa zajmowały ją, mimo że oburzała się na nie nieraz... Pani Gregoire przyrzekła, że

w pierwszy pogodny dzień odwiedzi te kochane dziewczątka. Pan Gregoire nie odzywał się zatopiony w myślach, aż wreszcie powiedział głośno:

– Mój drogi, na twoim miejscu porzuciłbym upór i rozpocząłbym pertraktacje z Montsou. Oni mają wielką ochotę nabyć twe grunta, a ty w ten sposób odzyskałbyś pieniądze.

Miał na myśli spór dawny pomiędzy koncesjonariuszami Montsou i Vandame.

Pomimo niewielkiego znaczenia tej kopalni, potężną sąsiadkę gniewało to bardzo, że musi tolerować pośród swych obszarów rozciągających się na sześćdziesiąt siedem gmin wokoło tę małą jedną milę kwadratową, która była własnością cudzą. Długo usiłowano zniszczyć konkurentkę, nie przebierając w środkach, teraz poczęto intrygować wiedząc, że tam poczyna źle iść. Chciano ją tanio kupić. Wojna wrzała bez ustanku i zawieszenia broni. Każdy nowy chodnik zbliżał przeciwników o paręset metrów do siebie. Była to walka na śmierć i życie, mimo że stosunki wzajemne dyrektorów i urzędników pełne kurtuazji nie zdradzały tego.

Oczy Deneulina rozgorzały.

– Nigdy! – wykrzyknął. – Póki żyję, Montsou nie dostanie Vandame! Byłem we czwartek na obiedzie u Hennebeau i zauważyłem, jak koło mnie chodził. Już zeszłego roku w jesieni podczas rewizji administracyjnej skakali wszyscy ci wielcy panowie koło mnie. O, znam ja owych markizów, książąt, ministrów, generałów! To są rozbójnicy, którzy by radzi ściągnąć

z człowieka ostatnią koszulę!

Nie przestawał na nich napadać! Zresztą i pan Gregoire nie stawał w obronie zarządu Montsou. Owych sześciu, ugodą z r. 1760 ustanowionych radców rządziło przedsiębiorstwem w sposób absolutny, w razie śmierci któregoś uzupełniając się w ten sposób, że dobierali sobie jednego spośród najbogatszych akcjonariuszów. Pan Gregoire, będący zwolennikiem tego, *co wypada*, miał przekonanie, że ci panowie zbyt nieraz daleko posuwają się w pogoni za zyskami i dają się porywać nieraz bezwzględności i brutalności.

Melania weszła, by zebrać naczynia. Psy znowu szczekać poczęły zapamiętałe i Honorka skierowała się ku drzwiom, by zobaczyć, co się stało. Ale Cecylka, dusząc się z gorąca i zbyt obfitego posiłku, wstała, mówiąc:

– Nie, nie, nie chodź, to pewnie moja lekcja.

Deneulin powstał również. Spojrzał na dziewczynę wychodzącą właśnie i spytał ze śmiechem:

– I jakże stoi sprawa z małym Négrelem?

– O, to jeszcze bardzo niepewne! – odparła pani Gregoire. – To dopiero pomysł bliżej nieokreślony, musimy się zastanowić.

– Niewątpliwie – ciągnął dalej Deneulin z szelmowskim śmiechem. – Coś słyszałem, jakoby siostrzeniec i ciocia... byli ze sobą... hm! Co mnie jednak zastanawia to to, że właśnie pani Hennebeau rzuca się na szyję Cecylce.

Pan Gregoire przyjął to kwaśno. Taka dystygowana dama... i do tego o czternaście lat starsza... nie, to niemożliwe. Zresztą

nie znosi, by żartować sobie z tak poważnych rzeczy. Deneulin, śmiejąc się ciągle, uściśnął mu rękę i wyszedł.

– Nie, to nie to, com myślała! – odezwała się Cecylia wchodząc. – Przyszła stara kobieta z dziećmi, wiesz, mamó, żona górnika, którąśmy raz spotkały. Czy ma tu przyjść?

Państwo Gregoire'owie zawahali się. Czy bardzo brudna? Nie, nie była bardzo brudna i dzieci także nie, zresztą saboty zostawiają w sieni. Pan i pani rozparli się już w fotelach dla trawienia, ruszać im się nie chciało i to przeważało szalę:

– Wpuść ich tu, Honorciu.

Zjawiała się Maheude²⁰ z dziećmi. Wszyscy troje zdrętwiali z zimna stanęli przy drzwiach i rozglądać się poczęli po pokoju, gdzie było tak pięknie, ciepło i gdzie tak pachniały brioszki.

²⁰ *Maheude* (fr. daw.) – żona pana Maheu; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca. [przypis edytorski]

II

Do zamkniętego mieszkania rodziny Maheuów począł poprzez zamknięte okiennice wciskać się szparami świt, ścieląc się powoli jasnymi smugami.

Wszyscy spali, a powietrze stało się jeszcze cięższe. Lenora i Henryś trzymali się ciągle za szyję, Alzira leżała z głową w tył odrzuconą, spoczywającą na garbie, zaś dziadek Bonnemort zajmujący łóżko Zachariasza i Jeanlina chrapał z otwartymi ustami. Z sionki też nie dochodził żaden głos. Maheude zasnęła podczas karmienia dziecka, które napojone spało w poprzek tłustego brzucha matki, na pół zduszone jej jedną zwisającą na bok piersią.

Kukułka zegaru oznajmiła godzinę szóstą. Dał się słyszeć wszędzie łoskot zamykanych drzwi, potem stuk drewnianych sabotów po bruku.

To kobiety i dziewczęta szły do roboty w sortowni. Potem ucichło znowu wszystko aż do godziny siódmej. Potem poczęto otwierać okiennice, rozległy się poiziewania i kaszel poprzez cienkie ściany mieszkań. Długi czas skrzypiały młynki trące kawę, w izbie Maheuów nikt się nie budził.

Ale niebawem rozległo się klaśnięcie policzka i krzyk za ścianą i to zbudziło Alzirę. Odgadła, że już późno być musi, zerwała się więc i boso podeszła do łóżka matki.

– Mamo! Mamo! Już późno. Masz dziś gdzieś iść!... Uważaj,

bo zadusisz Stelkę.

I wydobyła wpół uduszone dziecko spod piersi matczynej.

– Do stu tysięcy... człowiek tak zmęczy się przez cały dzień, że spałby nie wiem jak długo – wybąknęła, przecierając sobie oczy. – Ubierz Henrysia i Lenorę, wezmę ich ze sobą, a ty pobawisz Stelkę. Nie mogę jej przecież wlec taki kawał drogi. Zresztą boję się wynosić jej na takie zimno.

Umyła się pośpiesznie, ubrała w starą niebieską spódnicę, najlepszą jaką posiadała, i wdziała kaftan z szarej wełny, na którym poprzedniego wieczora załatała dwie dziury.

– A zupa... trzeba iść! – zamruczała i zeszła śpiesznie na dół, potracając wszystko, co jej stało w drodze.

Alzira wróciła do nyży i wzięła na ręce krzyczącą znowu Stelkę. Ale umiała lepiej niż matka poradzić sobie z dzieckiem. Mając osiem lat była doświadczona jak dorosła, położyła siostrę do ciepłego jeszcze łóżka i uśpiła, dając jej do ssania palec. A było to bardzo na czasie, gdyż właśnie rozległ się nowy krzyk i bójka, którą musiała załagodzić. Obudzili się Henryś i Lenora, którzy we śnie tylko trzymali się czule za szyje, na jawie natomiast wydzierali sobie garściami włosy i podbijali wzajem oczy. Dziś stroną napastującą była sześćioletnia Lenora, chłopiec przyjmował szturchańce, nie oddając ich. Alzira musiała porwać ją za nogi i odciągnąć grożąc, że jej zbije skórę. Gdy przyszło do mycia, powstał wrzask nowy powtarzający się zresztą za wkładaniem każdej części ubrania z osobna. Nie otwierano okiennic, by nie zbudzić dziadka Bonnemort, który wśród krzyku

chrapał dalej w najlepsze.

– Jestem gotowa... Czy dzieci ubrane? – spytała z dołu matka.

W izbie parterowej otworzyła okiennice, rozdmuchała ogień, dołożyła węgla. Miała nadzieję, że stary może nie wszystką zupę połknął, ale w garnku nie znalazła nic. Był jak wylizany. Ugotowała więc garść klusek, które miała w zapasie z dnia poprzedniego. Ugotowała je w czystej wodzie bez masła sądząc, że z tej odrobiny, która została w szafarni, nie zostało nic po zrobieniu czterech *kanapek* rano. Zdumiała się jednak, otwarłszy szafę. Okazało się, że Katarzyna potrafiła dokonać tego cudu i zostawić jeszcze kawałek masła wielkości orzecha laskowego. Prócz tego nic jednak więcej nie znalazła, ani skórki chleba, ani nawet kości do ogryzienia. Cóż zrobić, jeśli Maigrat trwał będzie dalej w uporze i nie da im kredytu, a mieszkańcy Piolaine odmówią pięciu franków? Gdy wrócą z kopalni mężczyźni i Katarzyna, musi im przecież dać jeść, bo nieszczęściem nie wynaleziono dotąd sposobu, by żyć, nie jedząc.

– Przyjdziecie raz? – krzyknęła ze złością. – Powinnam była już wyjść.

Rozdzieliła kluski na trzy małe porcje. Sama jeść nie chciała, twierdząc, że nie jest głodna. Mimo że Katarzyna wygotowała już raz wczorajsze fusy, zalała je ponownie gorącą wodą i wypila chciwie dwie szklanki kawy, która wyglądała jak czerwonożółta woda i była całkiem przezroczysta. Zawsze to podtrzymać ją trochę powinno, mówiła do siebie.

– Słuchaj – powtarzała Alzirze. – Nie będziesz budziła

dziadka, niech śpi! A uważaj na Stelkę, by sobie co nie zrobiła i nie krzyczała, gdy się zbudzi. W najgorszym razie weź kawałek cukru, rozpuść w wodzie i dawaj jej po łyżeczce. Wiem, żeś rozumna i nie zjesz sama cukru.

– A szkoła, mamó?

– Szkoła? Dość będzie czasu jutro iść do szkoły... potrzebuję cię w domu.

– A czy mam ugotować zupę? Może mama wróci późno...

– Zupę... zupę... Nie, czekaj, aż wrócę.

Alzira, przedwcześnie rozwinięta, jak wiele ułomnych dzieci, umiała gotować zupę, ale nie nastawiała, musiała się domyślić wszystkiego.

Kolonia robotnicza już była teraz na nogach, gromadki dzieci szły do szkoły, stukając głośno sabotami po bruku. Wybiła godzina ósma. Z mieszkania Levaque'ów dochodziła głośna rozmowa. Kobiety krzątały się koło gospodarstwa i garnków z kawą. Oparłszy dłonie na biodrach, puściły w ruch języki, jak młyńskie koła trajkoczące. Twarz ziemista z rozpląszczonym nosem i wydatnymi wargami pojawiła się w oknie. Ktoś zawołał:

– Nowina, nowina, chodź posłuchać!

– Nie, nie, potem – odparła Maheude – muszę wyjść z domu!

I obawiając się, że ulegnie zaproszeniu na szklanekę gorącej kawy, wyszła popychając przed sobą Lenorę i Henrysia. W izbie na górze chrapał dalej ojciec Bonnemort tak równo, że od tego chrapania zdawał się cały dom zasypiać na nowo.

Maheude zdziwiła się. Wiatr na dworze ustał zupełnie,

nastąpiła gwałtowna odwilż, niebo było ołowiane, na mury domów wystąpiła lepka, zielonawa wilgoć, ulice pełne były charakterystycznego dla tej węglonośnej okolicy czarnego, lepkiego błota. Wyglądało jak zarobiona z wodą na papkę sadza i przylepiało się tak, że obawiać się można było, iż ugrzęzną w nim trzewiki i nogę wyciągnie się z samą tylko pończochą. Maheude za pierwszym niemal krokiem musiała dać w twarz Lenorze, gdyż nabierała błoto na końce sabotów niby na łopatę. Wydostawszy się z kolonii robotniczej, poszła wzdłuż wału zsypana, przeszła ponad kanałem, a potem dla skrócenia drogi zwróciła się na grząskie ścieżki biegnące przez pola wśród parkanów z przegniłych desek i szła ciągle, mijając wozownie, warsztaty i wysokie kominy ziejące dymem, który zanieczyszczał daleko i szeroko powietrze, zwisając szarą chmurą ponad równią oszpeconą już i tak tyloma ponurymi, niezgrabnymi, brudnymi budowlami fabrycznymi. Spoza grupy topól wychyliła się stara, opuszczona kopalnia w Requillart ze szczątkami wieży szybowej, z której pozostało samo tylko główne rusztowanie. Potem skręciwszy na prawo, znalazła się na gościńcu.

– Czekaj, nauczę ja cię, ty świniu jakaś, robić gałki z błota! – krzyknęła na Henrysia, który w dłoni gniótł czarną kulę... Dostawszy swą porcję uspokoił się i jakby zadowolony, że i on nie został bez policzka, siedł obok siostry zezując tylko w tył za siebie, by widzieć ślady sabotów na błocie. Wszyscy troje szli teraz ociężale, znużeni wyciąganiem nóg z lepkiej gęstwy.

W kierunku ku Marchiennes czarna droga biegła prosto,

jak kolejowy tor pośród zoranych pól, przecinając Montsou. W północnej części kraju drogi ciągną się przeważnie prostolinijnie, jeśli mają krzywizny, to łagodne i niewielkie spadki. Wzdłuż nich stoją domy w coraz większej liczbie i widoczna jest tendencja zamienienia z czasem olbrzymich obszarów całego departamentu w jedno niezmierne robotnicze miasto. Małe domki były różnobarwnie malowane pewnie dla ożywienia ponurego krajobrazu, przeważały kolory żółty i niebieski, niektóre jednak były czarne. Stawało się to zresztą w końcu z każdym innym kolorem, było przeto najpraktyczniejsze. Domków tych stało mnóstwo na prawo i lewo i monotonię przerywały tylko większe, dwupiętrowe domy dozorców i majstrów, oraz zabudowania takie, jak sale tańca, knajpy, szynki, których było tak wiele, że stanowiły trzecią część wszystkich domów i zabudowań, nagromadzonych na stosunkowo małej przestrzeni, fabryk cukru, fabryk lin i młynów parowych.

Maheude, dotarłszy do zabudowań należących do Spółki węglowej Voreux, długiego szeregu magazynów i warsztatów, wzięła dzieci za ręce i prowadziła teraz jedno po lewej, drugie po prawej stronie. Widać stąd już było dom dyrektora, pana Hennebeau, obszerną willę, oddzieloną od drogi kratą i otoczoną ogrodem, w którym nędznie wegetowały cienkopiennne drzewa. Pod bramą stanął właśnie powóz, w którym siedział starszy mężczyzna z wstążeczką orderową w butonierce i dama w futrzanym płaszczu. Byli to zapewne goście z Paryża, gdyż pani Hennebeau widzialna w półświecie przedsionka wydała okrzyk

zdzumienia i radości.

– Prędeż, prędeż! – zamruczała Maheude, szarpiąc za ręce dzieci, które zapatrzone z otwartymi ustami stały w błocie na środku drogi, nie myśląc się ruszyć.

Znalazła się wreszcie u Maigrata w usposobieniu bardzo podnieconym. Maigrat sąsiadował z willą dyrektora, oddzielony od niej tylko murem. Dom jego był niski, bardzo długi i po stronie drogi miał sklep bez wystawowego okna. Dostać tu można było drobiazgów różnego rodzaju, kiełbas, jarzyn, chleba, piwa, rondli, garnków, słowem wszystkiego. Maigrat, dawniej nadzorca w Voreux, zaczął od małego kramu, potem porósł w pierze dzięki protekcji przełożonych i z wolna doprowadził do ruiny wszystkich konkurentów, zagarniając dla siebie handel miejscowy. Miał wszystko, a posiadanie mnóstwa odbiorców z wszystkich kolonii robotniczych sprawiło, że mógł sprzedawać taniej i udzielać większego kredytu. Zresztą był i teraz zawisły od Spółki węglowej, która mu wystawiła dom i skład na towary.

– Przychodzę jeszcze raz, panie Maigrat! – odezwała się Maheude pokornie, ujrawszy go przed drzwiami sklepu.

Spojrzał na nią i nie odpowiedział nic. Był otyły, sztywny, oziębły i miał ambicję nie odstępowania od tego, co raz postanowił.

– Przecież nie odprawi mnie pan z niczym jak wczoraj. Musimy mieć choć chleb do soboty... To prawda, to prawda, winniśmy panu od dwu lat sześćdziesiąt franków...

Chciała go przekonać o konieczności otrzymania chleba.

Mówiła z trudnością urywanymi zdaniami. Dług powstał w czasie ostatniego strajku. Już ze dwadzieścia razy obiecała go zapłacić, ale było niepodobieństwem ani czterdzieści sous spłacać co dwa tygodnie. W dodatku spotkało ją nieszczęście, musiała niedawno zapłacić dwadzieścia franków szewcowi, który groził, że jej zafantuje rzeczy. Dlatego to dziś są bez grosza. Inaczej dociągnęliby do soboty jak i inni robotnicy.

Maigrat wypiął brzuch, skrzyżował na piersiach ręce i na wszystkie przedstawienia odpowiadał jedynie przeczącym ruchem głowy.

– Proszę, daj mi pan tylko dwa bochenki chleba. Nie mam zachcianek nierozumnych, nie chcę kawy... tylko dwa funtowe bochenki chleba codziennie do soboty.

– Nie dam! – wrzasnął wreszcie na całe gardło.

Ze sklepu wyjrzała pani Maigrat, osoba o chorowitym wyglądzie, która dnie całe spędzała nad książkami handlowymi, nie śmiejąc podnieść znad ich kart głowy. Cofnęła się zaraz przerażona spostrzegłszy, że Maheude zwraca się do niej z błagalnym spojrzeniem. Opowiadano sobie, że łóże małżeńskie ustępować musi córkom odbiorców, przesuwaczkom. I było ogólnie znaną rzeczą, że jeśli górnik chciał uzyskać przedłużenie kredytu, to wystarczyło, by posłał do sklepu swą córkę albo żonę, bez względu czy była ładna, czy brzydka, byle nie zanedbta surowa na punkcie cnoty niewieściej.

Maheude żebrząca jeszcze o chleb, pod beczelnym, zimnym spojrzeniem jego poczęła się nagle mieszać. Wreszcie zawrzał

w niej gniew. Byłaby może jeszcze wybaczyła mu to dawniej, nim miała siedmioro dzieci, gdy była młoda, ale teraz!... I zdecydowała się odejść, zabierając dzieci, które znalazłszy w rynsztoku garść łupin z orzechów, poczęły je zbierać i badać skrupulatnie.

– To panu nie przyniesie szczęścia, panie Maigrat... pamiętaj pan!

Ostatnią nadzieją byli teraz właściciele Piolaine. Jeśli oni nie dadzą pięciu franków, to wszyscy członkowie rodziny Maheu mogli się położyć i czekać śmierci głodowej. Skręciła na lewo na drogę wiodącą do Joiselle. Na skrzyżowaniu dróg stał pałac rady administracyjnej, wielki i okazały budynek, gdzie wielcy panowie z Paryża, książęta, ministrowie, generałowie i różne wysokie figury rządowe zjeżdżali się każdej jesieni i wydawali wielkie obiady. Maheude rozmyślała po drodze, co kupi za owe pięć franków. Przede wszystkim chleba, dalej kawy, ćwierć funta masła, miarkę ziemniaków na zupę ranną i wieczorną, a wreszcie może odrobinę główizny wieprzowej, bo mąż musi mieć czasem mięso.

Ksiądz Joire, proboszcz Montsou, zjawił się na drodze. Szedł drobnym kroczeniem unosząc wysoko sutannę i skakał przez kałuże jak dobrze wykarmiony pieszczony kot, który boi się zawalać sobie ogon. Był uosobieniem dobroćliwości i udawał, że niczego nie dostrzega, nie chcąc narazić się ni robotnikom, ni chlebowcom.

– Dzień dobry, księżu proboszczu! – zawołała uradowana.

Przeszedł mimo niej bez słowa, uśmiechając się do dzieci. Nie wierzyła w nic, ale przyszło jej nagle do głowy, że ten ksiądz da jej coś!

Ruszyła dalej po czarnym, lepkim błocie. Miała przed sobą jeszcze dwa kilometry, dzieci ustawały, trzeba je było ciągnąć, nie robiły już zbytków, wlokły się smutne i wystraszone. Na prawo i lewo leżały rudawe pola poprzecinane płotami omszałymi i pomniejsze budynki fabryczne równie zawsze czarne od dymu. Dalej były już same tylko pola, jedna wielka płaszczyzna zagonów podobna do taflí oceanu, na którym, aż po fioletową linię lasu Vandame nie było ni jednego masztu.

– Weź mnie na ręce, mamó!

Niosła dzieci na przemian. Na gościńcu stały kałuże wody, podgięła więc wysoko spódnice z obawy, by nie przyjsć nadto zabłoconą. Trzy razy ledwo nie upadła, tak śliski był grunt. Gdy wreszcie znalazła się u bramy Piolaine, rzuciły się na nią dwa psy tak gwałtownie, że malcy poczęli krzyczeć na całe gardła ze strachu. Rozbestwione zwierzęta musiał odpędzić furman batogiem.

– Zostawcie w sieni saboty i wejdźcie! – powiedziała Honorka.

W jadalni matka i dzieci stanęły oniemiałe przy drzwiach. Mieszal ich widok niespodziany, ciepło, wzrok tej pani i pana wygodnie rozpartych w fotelach.

– Moja córko, spełń swe zadania zwyczajne.

Gregoire'owie powierzyli córce wydzielanie jałmużny. Było

to częścią integralną troskliwego wychowania, jakie jej dawali. Powinno się być dobroczynnym i państwo Gregoire byli dobroczynni, mawiali nawet, że dom ich jest domem Pana Boga. Obok tego pochlebiali sobie, że są rozsądnie dobroczynni, dręczyła ich zawsze obawa, że zostaną oszukani i wesprą występnego. Dlatego nie dawali nigdy pieniędzy. Nigdy, ni dziesięciu sous, ni nawet dwu, gdyż rzecz to wiadoma, że skoro tylko żebrak dostanie dwa sous, upije się w najbliższej karczmie. Jałmużnę dawali państwo Gregoire w naturze, zazwyczaj w postaci ciepłych sukien, rozdzielanych w zimie pomiędzy dzieci biednych robotników.

– O, biedne maleństwa! – wykrzyknęła Cecylia – aż pobladły ze zmęczenia i zimna! Honorciu, przynieś no pakiet z szafy.

Służące spoglądały na dzieci także z litością i zaniepokojeniem osób, które nigdy nie były zmuszone troszczyć się, czy będą miały co na obiad. Pokojówka wyszła, a kucharka, zapomniawszy o robocie, postawiła pozostałe brioszki na stole i gapiła się założywszy ręce na piersiach.

– Mam jeszcze dwa ubranka wełniane i chustkę – ciągnęła dalej Cecylka. – Zobaczycie, będzie im ciepło w tym!

Maheude nareszcie zdobyła się na podziękowanie i bąkała:

– Dziękuję bardzo panience... Państwo tacy dobrzy...

Łzy napływały jej do oczu, była pewna swych pięciu franków, rozmyślała tylko, jak o nie poprosi, jeśli sami państwo nie dadzą. Pokojowa nie wracała, nastała chwila kłopotliwego milczenia. Uczepieni do spódnicy matki Henryś i Lenora stali z wlepionymi

w brioszki oczami.

– Macie tylko dwoje dzieci? – spytała pani Gregoire, by przerwać milczenie.

– O nie, wielmożna pani, mam siedmioro!

Pan Gregoire, który siedział zasłonięty dziennikiem, zachnął się.

– Siedmioro? Ależ na co, miły Boże!

– To lekkomyślność! – mruknęła pani.

Maheude uczyniła gest, jakby się tłumaczyła. Ha, cóż robić! Człowiek nie myśli o tym, samo jakoś przychodzi do tego! A zresztą, gdy to dorośnie, przynosi do domu pieniądze, pomaga. Mimo to żyliby jeszcze jakoś, ale mają dziadka, który nie może chodzić, i także spośród wszystkich dzieci troje tylko, to jest córka i dwaj synowie, są w tym wieku, że mogą pracować w kopalni. A malcy, choć z nich nie ma korzyści, jeść też wołają.

– A długo pracujecie już w kopalni? – spytała pani.

Uśmiech przebiegł przez bladą twarz kobiety.

– O długo... długo... Ja do dwudziestu lat pracowałam na dole. Potem, po drugim połogu, doktor powiedział, że przypłaceć życiem, jeśli nie przestanę. Zdaje się, że coś się popsło w kościach. Zresztą właśnie wówczas akuratnie wyszłam za mąż i dość było roboty w domu. Ale mężczyźni z rodziny mego męża pracują już od wieków zda mi się w kopalni. Od prapradziada, od samego początku, gdy to jeszcze w Requillart rozpoczynano.

Pan Gregoire rozmarzonym wzrokiem spojrzał na tę kobietę i strasznie wyglądające dzieci, o woskowych

twarzach, wypłowiałych jakby włosach, zmarniałych skutkiem zwyrodnienia od całych pokoleń członkach, na te istoty niedokrewne i brzydkie, jak wszyscy bliscy śmierci z wycieńczenia i głodu.

Nastało ponowne milczenie przerywane jedynie trzaskaniem ognia na kominku. Nadmierne ciepło wytwarzało tu, jak w każdym mieszkaniu bogatego filistra, atmosferę ospałości, od której zasypiać się zdają meble w każdym kącie pokoju z osobna.

– Czegoż ona tam szuka tak długo? – zawołała z niecierpliwością Cecylka. – Melanio, idź na górę i powiedz jej, że pakiet leży w szafie na dole po lewej stronie!

Pan Gregoire zakończył głośno myśli, jakie w nim obudził widok tych nieszczęśliwych.

– Trudno, różne są troski na tym świecie... to prawda. Ale, dobra kobieto, należy także powiedzieć sobie, że robotnicy są bardzo często nierozsądni... i tak na przykład, zamiast, jak czynią wieśniacy, odkładać na bok po parę sous, górnicy piją, robią długi i w końcu nie mają sposobu utrzymania swych rodzin.

– Wielmożny pan ma zupełną słuszność! – odpowiedziała spokojnie. – Wielu nie żyje, jak należy. Oto co powtarzam bez końca tym gałganom, ile razy się skarżą! Ale mąż mój nie pije. Co najwyżej w wielkie święto łyknie sobie trochę za wiele, ale nigdy indziej. To tym więcej należy u niego ocenić, że przed ślubem pił jak... z przeproszeniem pańskim... jak ostatnia świnia... Ale widzi wielmożny pan, to nie na wiele się przydaje. Są czasem dni, jak dziś na przykład, że mogłabym przewrócić

wszystkie szuflady, a z żadnej ni grosz by nie wypadł.

Chciała w ten sposób przypomnieć panu Gregoire, by jej dał pięć franków. Mówiła dalej, opowiadała, jak powstał ów fatalny dług, który zrazu mały rósł coraz bardziej i teraz mowy nie ma o zapłaceniu go. Z początku spłacał regularnie co dwa tygodnie po trochu, ale raz zabrakło i od tej pory nie mogą sobie dać w żaden sposób rady. Dziura zwiększa się coraz bardziej, a mężczyźni tracą coraz bardziej ochotę do pracy, przy której nie można nawet tyle zarobić, by wyżyć bez długów. Niech to licho bierze... Do śmierci człowiek nie wyjdzie z biedy. A zresztą uwzględnić też trzeba, że górnik musi wypić kufelek, by spłukać pył. Od tego się zaczyna, a gdy troska zagości w domu i bieda, to go już ni wyciągnąć z szynku. Ona nie skarży się wcale ani nie buntuje, ale być może, że robotnicy jednak za małe mają płace.

– Mówiono mi – odezwała się pani – że Kompania daje wam mieszkanie i opał.

Kobieta rzuciła okiem na płonące na kominku węgle.

– Tak, tak, dają nam węgiel! Wprawdzie nie bardzo dobry, ale pali się w końcu od biedy. Co się tyczy czynszu, to płacimy sześć franków miesięcznie. To się zdaje prawie nic – ale często bardzo człowiekowi przychodzi trudno zapłacić. I zdarza się... jak dziś, na przykład, że choćby mnie kto krajać chciał, nie mogłabym się wykupić dwoma sousami. Z próżnego i Salomon nie należy!

Pani i pan, rozparci w swych fotelach, pod wrażeniem tego obrazu nędzy roztaczanego przed nimi poczęli doznawać niemiłego uczucia niepokoju i nudy zarazem. Maheude przelekła

się, że ich może obraziła, więc dodała jako praktyczna kobieta:

– Nie mówię tego wszystkiego, bym miała oskarżać kogo. Skoro raz się tak rzecz ma, trzeba się zgodzić, tym więcej, że wszelka walka byłaby prawdopodobnie bezskuteczna. Wszak prawda, wielmożni państwo, że najlepiej, gdy człowiek stara się spełnić swój obowiązek, gdziekolwiek mu Bóg żyć przeznaczy.

Pan Gregoire był tego samego zdania.

– O, niewątpliwie, dobra moja kobieto – powiedział – z takimi poglądami powinnyście się czuć wyższą ponad wszelkie przeciwności losu.

Nareszcie obie służące przyniosły pakiet. Cecylka rozwinęła go i wyjęła dwa ubrania dziecięce, dodała jeszcze chustki, pończochy i rękawice. Wszystko to, mówiła, będzie w sam raz. Pośpiesznie kazała swe dary zapakować Honorce. Właśnie przyszła nauczycielka muzyki, więc czasu nie miała i parła wprost Maheude i dzieci ku drzwiom.

– Wszystkie pieniądze wyszły nam... – poczęła jąkać się kobieta. – Gdybyśmy mieli choć pięć franków.

Słowa jej grzęzły w gardle, bo żebrać nie umiała. Cecylka niespokojnie spojrzała na ojca, ale on odmówił wprost bez ogródek i z uroczystą miną rzekł:

– Nie, nie mamy tego zwyczaju. Nie możemy.

Cecylka, poruszona desperacką miną kobiety, chciała przynajmniej dla dzieci coś uczynić. Stały ciągle jeszcze wpatrzone w brioszki, więc Cecylka wzięła nóż, odcięła dwie bułeczki i dała im.

– Macie, to dla was!

Zaraz wyjęła im jednak brioszki z rąk i zawinęła w starą gazetę.

– Zjście w domu – powiedziała – a podzielcie się z rodzeństwem.

Rodzice wodzili za nią rozkochanym wzrokiem, podczas gdy wypychała za drzwi matkę i głodne dzieci trzymające z szanowaniem w skostniałych jeszcze rękach wyborne pieczywo.

Maheude wracała, ciągnąc za sobą dzieci. Nie widziała już ani nagich pól, ani czarnego błota i ołowianego nieba. W głowie jej się kręciło. Znalazłszy się w Montsou weszła odważnie do sklepu Maigrata i prosiła tak natarczywie, że dał jej wreszcie dwa chleby, kawy, masła, a nawet ową upragnioną pięciofrankówkę, bo pożyczał też i pieniądze na lichwiarski procent. Maigrat nie jej pożytał, jak się okazało, tylko Katarzyny. Zrozumiała to, gdy jej zalecił, by przysłała po zapasy córkę. – No, no, pokaże się – pomyślała. Była pewna, że za pierwszym zbliżeniem się dostanie w twarz od dziewczyny.

III

Jedenasta godzina ozwała się z wieży kościółka kolonii robotniczej. Była to niewielka kaplica, gdzie ksiądz Joire co niedziela odprawiał mszę. Z pobliskiej szkoły, mimo zamkniętych z powodu zimna okien słyszać było jęklive głosy dzieci. Chodniki ciągnące się wzdłuż czterech ciężkich długich bloków domostw i ogródki leżące przed nimi puste były całkiem. Ogródki te smutny przedstawiały widok. W zmarzłej ziemi tkwiły brudne i ponachylane w różne strony resztki jarzyn, niby plamy zgniłozielonej barwy. Z kominów unosił się dym, wszędzie gotowano zupę. Tu i ówdzie otwarły się drzwi, kobieta stanęła w progu i zniknęła zaraz. Na początku i końcu każdego chodnika stały wielkie kadzie, w które ściekała woda z rynien, bo chociaż deszcz nie padał, para wodna przesycająca powietrze skraplała się ciągle na dachach. Cała zbudowana na płaskowzgórzu kolonia nie miała w sobie nic pociągającego. Żałobnie przerzynały ją pokryte czarnym błotem drogi, a jedynie czerwone cegły nowych jeszcze domów ustawicznie splukiwane deszczem odbijały czerwono od ponurego tła.

Maheude musiała nałożyć drogi, by kupić ziemniaków u żony dozorczy, która miała ich dotąd mały zapas z lata. Za grupą cienkich topól widniała grupa odosobnionych domów stojących po cztery razem w ogrodzie. Dyrekcja mieszkania te zbudowane na próbę, wedle nowego systemu, zarezerwowała dla nadzorców,

toteż robotnicy to miejsce nazwali wsią *jedwabnych pończoch*, swą zaś kolonię z dziecicą iście ironią: *Zapłać dług*.

– Ha, nareszcie jesteśmy! – powiedziała obładowana sprawunkami Maheude, popychając przed sobą Lenorę i Henrysia obłoconych strasznie i trzymających się ledwie na nogach.

Alzira stała przy kuchni i bujała na rękach Stelkę, daremnie starając się ją uspokoić. Dziecko wrzeszczało wniebogłosy. Alzira, gdy jej zabrakło cukru, a mała poczęła płakać, postanowiła spróbować sposobu, jakiego się czasem chwytala z niejakim powodzeniem. Rozpięła stanik i przytuliła usta dziecka do swej piersi. Ale Stelka rozgniewana, że nic wyssać nie może z piersi małego, chorowitego dziecka, nie przestawała drzeć się.

– Daj mi ją! – zawołała matka, pozbywszy się ładunku. – Inaczej nie da nam bachor przyjść do słowa.

Wydobyła z kaftana ogromną swą, ciężką pierś, a gdy malec uczepił się jej i zamilkł od razu, można było rozmawiać. Wszystko było w porządku, mała gospoia podsyciła ogień, zamiotła izbę, uporządkowała rzeczy. Gdy cicho się zrobiło, słysząc było już tylko miarowe chrapanie dziadka śpiącego ciągle bez przerwy mimo krzyku dziecka, który trwał kilka godzin.

– Co tu wszystkiego? – wyszeptała Alzira i uśmiechnęła się na widok zapasów. – Jeśli chcesz, mamu, ugotuję zupy.

Cały stół założony był pakunkami. Leżał tu pakiet z ubraniami, dwa chleby, ziemniaki, masło, kawa, cykorja i pół

funta głowizny wieprzowej.

– Ach, zupa! – odparła matka znużonym głosem. – Trzeba by dopiero zbierać szczaw, szukać w ogrodzie czosnku! Nie, potem ugotuję dla nich zupy. Połóż na węglach ziemniaków, zjemy je z masłem. I kawy zrób! Nie zapomnij o kawie!

Nagle przypomniała sobie o brioszkach. Spojrzała na dzieci, które już nieco przyszedłszy do siebie, biły się na ziemi. Masz tobie, zjadły brioszki po drodze. Wymierzyła każdemu po jednym policzku, a starała się ją uspokoić Alzira krzątająca się przy kuchni.

– Daj, mamó, spokój. Jeśli o mnie idzie, to mniejsza z tym. Wiesz, że mi na brioszkach nie zależy. Zgłodnieli pewno oboje, gdyż szli taki kawał drogi.

Wybiła dwunasta. Poczęły stukać saboty wracających ze szkoły dzieci. Kartofle były upieczone, kawa, do której dodano sporą porcję cykorii, sączyła się przez sitko, dudniąc głośno o dno garnka. Opróżniono róg stołu, ale tylko matka tam jadła, dzieciom za stół starczyły własne kolana. Przez cały czas Henryś, małomówny i żarłoczny niezmiennie, obracał głowę w stronę, gdzie leżała zawinięta w papier głowizna. Zafuszczony papier drażnił go niewymownie.

Maheude małymi łykami piła swą kawę, obejmując oburącz szklankę, by ogrzać ręce, gdy zszedł na dół ojciec Bonnemort. Zazwyczaj wstawał później i jedzenie czekało już na ogniu. Toteż począł mruścić, nie zastawszy zupy. Ale zamilkł, gdy mu synowa powiedziała, że nie zawsze można zrobić to, co się chce, i

począł jeść ziemniaki. Od czasu do czasu wstawał, szedł splunąć na popiół, by nie walać podłogi, wracał i przeżuwał jedzenie ze spuszczoną głową i zagasłym spojrzeniem.

– Ach, zapomniałam powiedzieć mamie, była tu sąsiadka...

– Nudzi mnie ta baba!... – przerwała matka.

Zła była w głębi duszy na panią Levaque, która skarżyła się jej wczoraj na swą nędzę po to, by nic nie pożyczyć, choć Maheude doskonale wiedziała, że mają pieniądze, gdyż lokator Bouteloup zapłacił za utrzymanie za dwa tygodnie naprzód. W kolonii niechętnie pożyczano sobie wzajem.

– Ale przypomniałaś mi – odezwała się znowu matka – nasyp do młynka pełno kawy, muszę oddać Pierronce²¹, winnam jej od przedwczoraj.

Alzira nasypała kawy, a matka zapowiedziawszy, że zaraz wróci, by ugotować zupy dla wracających z kopalni, wyszła ze Stelką u piersi. Dziadek żuł dalej ziemniaki, a dzieci biły się na ziemi, wydzierając sobie łupy ziemniaczane, które pospadały ze stołu.

Maheude poszła wprost przez ogród. Skręciła z chodnika z obawy, że ją zawoła Levaque. Ogród jej przytykał do ogrodu pani Pierron i miał wielką dziurę w kracie służącą za furtkę sąsiadom. Była tam zarazem wspólna studnia czterech rodzin. Na lewo za nikłym krzakiem bzu była komórka na króliki. Służyła

²¹ *Pierronka* (fr. *Pierronne*) – żona pana Pierron; tłumacz wykorzystał polską formę gwarową na -ka, a nie daw. ogólnopolską formę na -owa; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca. [przypis edytorski]

też za skład narzędzi i miała otwór w dachu, którądy wyciągano króliki za uszy, gdy przyszło wielkie święto i chciano się uraczyć pieczenią na obiad. Uderzyła godzina pierwsza. Była to pora picia kawy i ani żywej duszy widać nie było w drzwiach ni w oknach. Tylko jakiś robotnik korzystając z chwili wolnej kopał w swoim ogrodzie. Gdy Maheude znalazła się przed domem sąsiadki, ujrzała ze zdziwieniem jakiegoś pana i dwie damy w pobliżu kościoła. Stanęła na chwilę i poznała ich. Była to pani Hennebeau pokazująca kolonię robotniczą swym gościom, panu z orderem i damie w futrzanym płaszczu.

– O, i po cóż się było fatygować! – zawołała Pierronka, gdy Maheude oddała jej kawę. – To przecież nie jest pilne!

Miała lat dwadzieścia osiem, ciemne włosy, niskie czoło, wielkie oczy i wąskie usta. Uchodziła za piękność w całej kolonii. Była zalotna, czysta jak kotka i miała piękny biust, ponieważ była bezdzietna. Matka jej, stara Brûlé, wdowa po hajerze, który zginął, kazała córce pracować w kopalni i przysiąc, że nie wyjdzie nigdy za górniką. Toteż nie posiadała się ze złości, gdy dziewczyna wyszła za Pierrona, który nie tylko był górnikiem, ale do tego wdowcem mającym ośmioletnią córkę. Jednak małżeństwo żyło w zgodzie i szczęśliwie mimo plotek o usługach męża i kochankach żony. Nie mieli długów, jadaliby dwa razy w tygodniu mięso, a dom był tak porządnie utrzymany, że przeglądać się można było jak w lustrze w każdym rondlu. W dodatku ciesząc się protekcją dyrekcji pani Pierron uzyskała pozwolenie na sprzedaż cukierków i ciastek. Ustawiła je w

oknie w szklanych słojach i sprzedawała za sześć do siedmiu sous dziennie, w niedzielę osiągając nieraz nawet dwanaście sous. Szczęście mąciły tylko dwie okoliczności, wybuchy gniewu matki Brûlé, która nie przestawała się odgrażać, że musi śmierć męża pomścić na pracodawcach, oraz mała Lidia, która za żywe usposobienie całej rodziny pokutować musiała, odbierając co dnia obficie policzki.

– O, jaka już duża! – mówiła pani Pierron, łaskotając Stelkę.

– O, nie wspominaj mi o tym bachorze. Nie masz pojęcia, co to za męka. Szczęśliwa czuć się powinnaś, że nie masz dzieci. Możesz przynajmniej wszystko utrzymać w porządku.

Mimo że i u niej było porządkie i podłoga co soboty wmyta, obrzuciła zawistnym spojrzeniem gospodyni tę tak czystą stancję, gdzie znajdowały się nawet przedmioty zbytkowne, złożone wazoniki na kredensie, lustro i trzy sztychy w ramach.

W tej chwili właśnie pani Pierron piła kawę i w domu nie było nikogo.

– Napijesz się ze mną szklaneczkę... prawda? – spytała.

– Nie, dziękuję ci, dopiero co piłam w domu.

– A cóż to szkodzi.

Naturalnie nie stanowiło to żadnej przeszkody. Zasiadły obie i piły powoli, a spojrzenia ich wybiegły przez okno na pół zasłonięte słojami cukierków i ciastek i zawisły na domach naprzeciwko stojących, których okna zawieszone mniej lub więcej czystymi firankami dawały świadectwo o nawyczkach i charakterach gospodyń. Firanki pani Levaque były strasznie

brudne, zdawało się, że są to ścierki, którymi kilka miesięcy obcierano garnki.

– Nie pojmuję, jak można żyć w takim brudzie! – rzekła pani Pierron.

Ta uwaga rozwiązała język Maheudy. Ach, co by ona dała za takiego jak Bouteloup lokatora. Gdy tylko człowiek umie wziąć się do rzeczy, jest to wyborny interes... można żyć po książęcemu. Naturalnie nie trzeba zaraz brać go do swego łóżka. Prócz tego, mąż pani Levaque to gałgan, pijak, bije żonę i ugania się za subretkami²² po kawiarniach w Montsou.

Pani Pierron nie kryła swego obrzydzenia. Te istoty... to plaga... od nich zarażają się mężczyźni w sposób straszny. W Joiselle jest jedna, która zaraziła całą kopalnię.

W końcu dodała:

– Dziwi mnie tylko, żeś pozwoliła, by syn twój wdawał się z ich córką.

– Dobrze ci tak mówić... ale spróbuj nie pozwolić... Ogród jej przytyka do naszego. W lecie siedział Zachariasz ciągle z Filomeną za krzakiem bzu, albo na dachu szopy z królikami. Nie żenowali się wcale i nie podobna było zaczerpnąć wody, by ich nie schwycić na gorącym uczynku.

To były skutki życia wspólnego obok siebie robotników w kolonii.

Chłopcy i dziewczęta widywali się ciągle, dojrzewali razem i bez przeszkody, gdy tylko noc nadeszła, mogli z zupełną

²² *subretka* (z fr.) – pokojówka, służąca. [przypis edytorski]

swobodą obcować z sobą. Ulubionym miejscem był płaski dach stajni króliczej.

Wszystkie przesuwaczki przynosiły sobie stamtąd swe pierwsze dziecko, o ile nie wołały w tym samym celu udać się na starą kopalnię w Requillart lub ulokować się w zbożu. Nie było w tym nic zdrożnego, pobierano się potem, tylko matki gniewały się, gdy chłopcy poczynali za wcześnie, gdyż syn żeniący się był stracony dla rodziny.

– Na twoim miejscu skończyłabym już raz z tym! – poczęła znowu pani Pierron głosem nabrzmiętym świętym oburzeniem. – Mają już dwoje dzieci, a nie przestaną jeszcze rychło zadawać się z sobą. Zresztą krzyżyk już i tak musisz położyć na jego pieniądze.

Maheude wzniosła do góry pięści.

– Słuchaj! Przeklnę ich, jeśli nie przestaną!... Czyż Zachariasz nie jest obowiązany szanować rodziców? Kosztował nas tyle! Teraz musi nam odrobić choć trochę, nim sobie weźmie na kark żonę. Powiedz sama, co byśmy poczęli, gdyby dzieci, gdy tylko nauczą się pracować, pracowały zaraz na siebie? Lepiej by położyć się i zdechnąć!

Niebawem uspokoiła się i dodała:

– Mówię tak w ogóle tylko... pokaże się, co z tego wszystkiego będzie... Wyborna ta twoja kawa. Nie szczędzisz do niej, widzę, niczego.

Rozmawiała jeszcze z kwadrans, a potem wybiegła szybko narzekając, że zupa dotąd nie gotowa. Dzieci szły znowu do

szkoły, a w drzwiach półotwartych mieszkań widać było głowy ciekawych kobiet spoglądających na panią Hennebeau, która szła chodnikiem z gośćmi i wskazywała im różne rzeczy, tłumacząc urządzenie kolonii robotniczych. Robotnik kopiący w ogrodzie podniósł na chwilę głowę, kilka kur spłoszonych przebiegło przez ogrody.

Maheude wracając do domu spotkała się nos w nos z panią Levaque, która wyszła z domu, by schwytać w przelocie doktora Vanderhaghen, lekarza kolonii, małego, wiecznie śpieszącego się człeczka, który z powodu przeciążenia pracą, porad lekarskich udzielał nie zatrzymując się wcale.

– Panie doktorze – mówiła Levaque – sypiać całkiem nie mogę, wszystko mnie boli, chciałabym się poradzić.

Mówił wszystkim *ty*. Rzekł więc, nie zatrzymując się:

– Daj mi spokój! Pijesz za wiele kawy!

– Panie doktorze, proszę odwiedzić mego męża – ozwała się Maheude – ciągle go bołą nogi, czuje się słabym...

– To ty go osłabiasz! Daj mi święty spokój!

Obie kobiety wzruszyły ramionami, spoglądając za oddalającym się lekarzem.

– Wstąp do mnie! – poczęła Levaque. – Mam ci coś powiedzieć, a przy tym musisz się ze mną napić kawy. Świeżo zrobiłam.

Maheude wzbraniała się, ale w końcu uległa. Cóż to znaczy? Ot łyk jeden, by nie obrazić odmową.

Izba czarna była od brudu, na podłodze i ścianach świeciły

tluste plamy, kredens i stół pokryte były obrzydliwymi warstwami błota, a odór tego niechlujstwa zapierał oddech w piersiach. U ognia z łokciami wspartymi o stół siedział Bouteloup z nosem zwieszonym nad talerzem. Był barczysty, ruchy miał dobroduszne, pełne prostoty i młodo wyglądał bardzo na swoje trzydzieści pięć lat. Kończył jeść zupe, spoglądając na małego Achilla, starszego syna Filomeny, który poczynął właśnie trzeci rok życia, stojącego przed nim z miną natrętnego, łakomego psa. Lokator z uśmiechem wtykał mu od czasu do czasu kawałki mięsa do ust.

– Czekaj, zaraz osłodzę! – rzekła Levaque wchodząc i wsypała wprost do imbryka trochę cukru.

Była starsza o dziesięć lat od Bouteloupa, bardzo brzydka, zniszczona, piersi jej zwisały na brzuch, a brzuch na lędźwie, twarz miała płaską i poczynające siwieć, nigdy nie czesane włosy. Bouteloup przystał na panią Levaque nie przyglądając się jej bardzo, jak nie przyglądał się zupie, w której odkryłby inaczej włosy, i pościeli nie zmienianej nieraz przez całe trzy miesiące. Pani Levaque wstawiona była już w rachunek, a mąż lubił powtarzać, że przyjaźń przyjaźnią, a rachunek rachunkiem.

– Otóż chciałam ci powiedzieć, że widziano wczoraj Pierronkę włóczącą się po dzielnicy *jedwabnych pończoch*. Poza gospodą Rasseneura czekał na nią.... wiesz już kto... i poszli razem wzdłuż kanału... I cóż, jakże ci się to podoba... mężatka... to wstyd doprawdy!

– Ha, ha, ha – roześmiała się Maheude – zanim Pierron ożenił

się, ofiarowywał dozorczy króliki w prezencie, teraz kosztuje go mniej pożyczanie żony.

Bouteloup wybuchnął głośnym śmiechem i rzucił kawałek zamaczanego w sosie chleba prosto w usta Achilla. Obie kobiety poczęły się zabawiać kosztem biednej Pierronki. Ta kokietka nie ładniejsza od innych, ale ciągle stoi przed lustrem, ogląda się od stóp do głowy, myje, pomaduje. W końcu jest to rzecz męża, jeśli się godzi, tym gorzej. To prawda, trafiają się mężczyźni, którzy chętnie podtarliby ... przełożonemu, byle usłyszeć *dziękuję*. Przerwało im wejście sąsiadki, która przyniosła małą Désirée, młodsze dziecko Filomeny. Matka jadła śniadanie w sortowni, zanoszono jej więc małą, by trochę possała.

– A ja nie mogę zostawić na minutę mego baka, by nie zaczął drzeć się wniebogłosy – pożaliła się Maheude spoglądając na Stelkę uśpioną na jej ręku.

Czytała już od chwili w oczach pani Levaque, że wystąpi z kwestią drażliwą. Nie było sposobu uniknąć tego.

– Słuchaj no – poczęła gospodyni domu – trzeba by z tym skończyć.

Dawniej bez słowa porozumiały się co do tego, że nie trzeba dopuścić do małżeństwa Zachariasza z Filomeną. Podobnie jak matka Zachariasza możliwie długo zatrzymać chciała zarobek swego syna, pani Levaque nie chciała tracić zarobku córki. Gniewała ją już sama myśl o tym.

Do ślubu nic nie pędziło, a Levaque wołała już małego Achilla

chować sama. Ale od czasu, kiedy malec podrósł i musiał się żywić chlebem a nie mlekiem matki, gdy dalej przybyło drugie dziecko, spostrzegła Levaque, że poczyną tracić, poczęła więc naglić o małżeństwo z uporczywością kobiety chcącej się pozbyć co prędzej obcych dzieci z domu.

– Zachariasza uwolniono od wojska – mówiła – nic nie przeszkadza, by się pobrali... no kiedyż by to mogło nastąpić?

– Odłóżmy to do lata! – odparła Maheude z zakłopotaniem. – A to głupia sprawa! Nie mogła poczekać do ślubu? Przysięgam, że zatłukłabym Katarzynę, gdyby zrobiła podobne głupstwo.

Levaque wzruszyła ramionami.

– Daj spokój, i na nią przyjdzie kolej, robi, jak wszystkie robią.

Bouteloup spokojnie, jak człowiek czujący się u siebie, przeszukał cały kredens za chlebem. Zielenina do zupy Levaque'a i na pół obrane kartofle leżały na stole. Z dziesięć razy brała je pani Levaque do rąk i kładła znowu, by robić plotki. I teraz wzięła do rąk czosnek, ale zaraz rzuciła i podbiegła do okna.

– A to co? Pani Hennebeau z jakimiś obcymi. O, patrz, wchodzi do Pierronki!

I wzięły się znowu do Pierronki. Ani razu nie zdarzyło się, by tam nie zaprowadzono gości zwiedzających kolonię, a to dlatego, że było u niej czysto. Ale pewnie im nie opowiadano historii z nadzorcą. Phi! Cóż to za sztuka trzymać wszystko w porządku, gdy się ma kochanka dostającego trzy tysiące rocznie,

prócz mieszkania, opału i podarków. Ale tam tylko z wierzchu porządnie, za to gdzie indziej wcale nie. Przez cały czas wizyty dostojnych gości kobiety klepały na ten temat.

– Wychodzą, wychodzą! – zawołała Levaque. – Idą w tę stronę.... Popatrz no moja droga, zdaje mi się, że zmierzają do ciebie.

Maheude przeraziła się. Czy też Alzira starła ze stołu? I zupa nie gotowa. Bąknęła *do widzenia* i pobiegła jak strzała prosto ku domowi, nie oglądając się za siebie.

Wszystko było w porządku. Alzira z zapałem gotowała zupę, zawiąawszy u pasa ścierkę. Wzięła się do tego widząc, że matka nie wraca. Znalazła w ogrodzie trochę czosnku, narwała szczawiu i właśnie czyściła zieleninę, a na ogniu wrzała w wielkim garnku woda na kąpiel dla wracających o trzeciej z kopalni. Henryś i Lenora dziwnym trafem nie bili się, w zupełnej zgodzie drąc na kawałki stary kalendarz gdzieś znaleziony, a dziadek w milczeniu palił fajkę.

Ledwo Maheude odsapnęła, rozległo się pukanie do drzwi.

– Pozwoli pani, pani Maheu... nieprawdaż?

Thusta, ocieężała już nieco, czterdziestoletnia pani Hennebeau zmuszała się do przyjaznego uśmiechu i starała się ukryć obawę, że powala sobie brązową, jedwabną suknię i czarny, aksamitny płaszczyk.

– Proszę, wejdźcie państwo – mówiła do przybyłych – nie przeszkadzamy w niczym, jak widzicie sami... No i cóż? Jakże wam się wydaje, prawda, że i tutaj czysto? A ta zacna kobieta

ma siedmioro dzieci. Wszystkie mieszkania naszych robotników tak wyglądają... Wspominałam państwu już, że Spółka liczy im sześć franków miesięcznie za mieszkanie składające się z wielkiego pokoju na dole, dwu pokoiów na piętrze, piwnicy i ogrodu.

Pan z orderem i dama w futrzanym płaszczu przybyli rannym pociągiem z Paryża, mieli trochę zakłopotane twarze i zdziwienie malowało się w ich szeroko otwartych oczach.

– I ogrodu... – powtórzyła dama. – Ależ tu warto by zamieszkać, to wyśmienite.

– Dostają więcej węgla, jak im potrzeba – ciągnęła dalej pani Hennebeau – lekarz przychodzi dwa razy w tygodniu, a na starość dyrekcja daje im pensje²³, mimo że nie odciąga się im nic z zarobku.

– Raj, istny raj! Jak w bajce! – zamruczał pan w zachwyceniu.

Maheude podsunęła krzesła i prosiła siadać. Ale panie podziękowały. Pani Hennebeau miała już tego widocznie dosyć, choć zrazu rozerwała ją trochę rola przewodnika po menażerii. Specyficzny odór nędzy panujący w domach robotniczych, do których się wejść odważyła, mimo czystości ich, raził ją. Powtarzała zresztą tylko posłyszane frazesy, sama nie troszczyła się wcale losem ludzi żyjących i cierpiących tutaj w bezpośrednim sąsiedztwie.

– Śliczne dzieciaki! – wybąknęła dama w płaszczu futrzanym, a w głębi duszy poczuła odrazę do ich brzydkich, za wielkich

²³ pensja – tu: emerytura. [przypis edytorski]

głów pokrytych twardym, rudym włosiem.

Maheude musiała mówić, ile lat mają. Damy z grzeczności zapytały o Stelkę. Ojciec Bonnemort z uszanowania wielkiego odłożył fajkę, mimo to jednak był gościom strasznym zjawiskiem. Widoczne były na nim okropne skutki czterdziestoletniej pracy w kopalni. Ukryć się nie dały okaleczone nogi, złamany pracą grzbiet i bezkrwista ołowiana twarz. Porwał go właśnie kaszel, więc wyszedł, by odpłuć na polu, gdyż domyślił się, że jego czarne plwociny wstręt by wzbudzić mogły w wytwornych gościach.

Na Alzirę spadły wszystkie niemal pochwały. Cóż to za śliczna mała gosposia z czystą ściereczką u pasa? Winszowano matce, że ma córkę tak nad swój wiek rozwiniętą. Nikt nie wspominał o garbie, ale niezręcznie litościwe, niespokojne spojrzenia podkreślały to aż nadto dokładnie.

– Teraz – rzekła pani Hennebeau – gdy państwa zapyta ktoś w Paryżu, jak mieszkają górnicy Voreux, będziecie wiedzieli, co powiedzieć? Wszędzie jak tutaj patriarchalne stosunki i obyczaje, wszyscy spokojni, szczęśliwi, nikomu nie brak niczego. Doprawdy, powinni byćście państwo tu przyjechać odpocząć w spokoju na świeżym powietrzu.

– To przedziwne! Przedziwne! – wykrzyknął pan z orderem z wybuchem zachwyty.

Wyszli rozpromienieni, jak gdyby wychodzili z wystawy okazów egzotycznych. Maheude wyprowadziła ich i stanęła w progu patrząc, jak szli powoli, głośno rozmawiając. Ulice ludne

teraz były, dostojni państwo mijali teraz grupy kobiet, które na wieść podawaną od domu do domu zbiegły się zewsząd ciekawe widowiska.

Levaque przed samymi swymi drzwiami natknęła się na panią Pierron, która także przyszła się pogapić. Obie udawały zdziwienie. Ha, cóż to, czy ci państwo zamyślają nocować u Maheuów? No, nie byłoby im wesoło!

– Nigdy nie ma u nich w domu grosza, choć zarabiają wszyscy! Ha, trudno, tak być musi, gdy się ma nawyczki złe.

– Powiedziano mi, że Maheude dziś rano była po zebraniu u właścicieli Piolaine i także że Maigrat, który odmówił im kredytu, zdecydował się i dał chleba i różnych rzeczy. Wiadomo, czym się płaci Maigrata.

– Chyba nie na nią ma ochotę! Na to trzeba by odwagi!.... Zagiął parol na Katarzynę, to jasne.

– Pomyśl tylko, moja droga! Ta kobieta jest do tego stopnia bezczelna, że odgrażała się przed chwilą u mnie, iż zatłukłaby Katarzynę, gdyby się z kimś wdała. Co za obłuda, jak gdyby Chaval dawno już nie wyobrażał jej na wszystkie strony na dachu królikarni!

– Cicho! Wychodzą!

Obie kobiety, udając spokój, niby to bez ciekawości patrzyły ukradkiem na odchodzących. Dały znak i Maheude ze Stelką na rękę przyłączyła się do nich niebawem. Wszystkie trzy spoglądały teraz w milczeniu na oddalające się, pięknymi materiałami pokryte plecy pani Hennebeau i jej gości. Gdy

dostojnicy oddalili się o jakieś trzydzieści kroków, języki poczęły latać.

– Mają na sobie ubrania wartające więcej od nich samych!

– Niewątpliwie!... Tej drugiej nie znam, ale za tę naszą nie dałabym czterech sous, choć taka tłusta. Opowiadają rozmaitości.

– Podobno ma kochanków!... Przede wszystkim inżyniera...

– Tego chudego malca... Ależ to pchła... może zginać w prześcieradłach!

– Cóż to szkodzi, jeśli jej dogadza! O, ja nie dowierzam żadnej takiej damie, co ciągle kręci nosem i robi miny niezadowolenia, gdziekolwiek się znajdzie.... Patrzcie no jak kręci zadkiem, jak gdyby chciała wyrazić w ten sposób, że pogardza nami wszystkimi. Czy to przyzwoite?

Pani Hennebeau i jej goście uszli tymczasem powoli, ciągle rozmawiając, spory kawałek drogi. Nagle ukazała się karetka i zatrzymała na gościńcu przy kościele. Wsiadł z niej mężczyzna może pięćdziesięcioletni z ogorzałą, surową, energiczną twarzą, ubrany w czarny długi surdut.

– Patrzcie, mąż! – szepnęła Levaque zniżając głos, jak gdyby mógł usłyszeć. Strachem przejęło ją zjawienie się generalnego dyrektora, przed którym drżało dziesięć tysięcy robotników. – Czyż może być, by ten człowiek miał rogi?

Cała kolonia wyległa na dwór. Wzrastała ciekawość kobiet, poszczególne grupy poczęły się z sobą zlewać i utworzyły wreszcie tłum, a gromada zasmarkanych dzieci z otwartymi

ustami obiegała drogę.

Spoza parkanu okalającego szkołę wyjrzała nawet raz twarz nauczyciela. Kopiący w swoim ogrodzie robotnik przerwał pracę, otworzył szeroko oczy i gapił się stojąc z nogą opartą o żelazo łopaty.

Pomruk plotkujących kobiet rósł, nabrzmiewał podobny do szumu wiatru w kupie suchych liści.

Ścisk był największy przed drzwiami pani Levaque. Zbliżyły się naprzód dwie kobiety, potem dziesięć, potem dwadzieścia. Przezorna Pierronka milczała teraz, gdyż było za dużo słuchaczek. Maheude, będąca jedną z rozsądniejszych, poprzestała na patrzeniu i by uspokoić rozbudzoną i krzyczącą na nowo Stelkę, wyjęła w oczach wszystkich ze stanika swą ogromną obwisłą od mleka pierś i jak pocziwa krowa cielę, poczęła niemowlę karmić.

Pan Hennebeau wsadził wreszcie do powozu damy i pana z orderem i odjechał z nimi w stronę Marchiennes.

Teraz rozlała się szeroko fala wymowy. Kobiety gadały, wymachując rękami, krzyczały sobie wzajem w uszy i rzucały się jak opętane, a całość przedstawiała się z pewnej odległości jak mrowisko, w którym wybuchła rewolucja.

Wybiła godzina trzecia. Robotnik kopiący w ogrodzie i Bouteloup poszli wraz z innymi do roboty. Nagle zza węgła kościoła wyszli pierwsi wracający z kopalni robotnicy o twarzach poczernionych, w przemoczonej odzieży, zgarbieni, z rękami założonymi na piersiach. Kobiety rozbiegły się na wszystkie

strony, gnały co tchu do domów zdesperowane, że za wiele kawy i plotek doprowadziło je do zaniedbania obowiązków gospodarskich.

Zewsząd dolatywały rozpaczliwe wykrzyki:

– O Boże, mój Boże, co ja pocznę nieszczęsna? Zupa nie gotowa!

IV

Gdy ojciec Maheu, zostawiwszy Stefana u Rasseneura, wrócił do domu, zastał Katarzynę, Zachariasza i Jeanlina siedzących już przy jedzeniu. Wracający z kopalni górnicy byli zazwyczaj tak zgłodniali, że zabierali się zaraz do obiadu, nie zdejmując przemoczonego odzienia, nie myjąc się. Każdy szedł prosto do stołu i połykał szybko swą porcję. Od rana do wieczora siedział ktoś i jadł, doczekawszy się wreszcie swej porcji obiadowej.

Już od drzwi zobaczył Maheu zapasy żywności. Nie rzekł nic, ale stroskana twarz jego rozpogodziła się. Przez cały ranek dręczyła go myśl o pustej szafarni bez chleba, kawy, masła i dławiąc się złym powietrzem w głębi sztolni przy pracy, jeszcze rozmyślał, skąd by wziąć pieniędzy. Ciekawość go paliła, ale nie pytał żony. I cóż by było, gdyby wróciła z próżnymi rękami? Dzięki Bogu jest po trochu wszystkiego. Potem się dowiem, skąd się to wzięło, pomyślał i uśmiechnął się.

Katarzyna i Jeanlin wstali już i kończyli stojąc kawę, Zachariasz zaś nie nabrał jeszcze zupy i właśnie ukroiwszy sobie potężną kromkę chleba począł ją smarować masłem. Widział on na jednym talerzu głowiznę wieprzową, ale jej nie tknął. Mięso, gdy go było tylko dla jednego, przeznaczone było dla ojca. Wszyscy skończyli zupę, wychylili po szklance wody, tego napoju górnika przed wypłatą.

– Nie ma piwa! – odezwała się matka, gdy ojciec zasiadł przy

stole. – Chciałam zostawić sobie jeszcze trochę pieniędzy, ale jeśli chcesz Alzira pójdzie po kufelek.

Spojrzał na nią zdziwiony. Jak to? Ma także i pieniądze?

– Nie, nie – odparł – piłem już, to wystarczy.

Zabrał się do zupy będącej mieszaniną chleba, ziemniaków, czosnku i szczawiu, a Maheude nie wypuszczając z rąk Stelki pomagała Alzirze w obsłudze ojca, przysuwała mu masło i głowiznę i doglądała kawy stojącej na blasze, by była gorąca.

Tymczasem poczęła się kąpiel w służącym za wannę półbeczku. Pierwsza kąpała się Katarzyna. Napełniła beczkę letnią wodą i rozebrała się. Najspokojniej w świecie zdjęła czapkę, bluzę, spodnie, wreszcie koszulę, przywykła do tego od małości, nie widząc w tym nic złego. Obróciła się tylko twarzą do ognia, a potem cała natarła się silnie czarnym mydłem.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, nawet Henryś i Lenora nie byli ciekawi, jak wygląda starsza siostra. Umywszy się, zupełnie naga poszła po schodach na górę, zostawiwszy brudne i przemoczone ubranie na ziemi. Teraz począł się spór między braćmi o to, który z nich ma się pierwszy kąpać. Jeanlin, pod pozorem, że Zachariasz jeszcze je, wskoczył pierwszy do wody, ale Zachariasz go odepchnął twierdząc, że dość już zrobił odstępując pierwszeństwa Katarzynie, a wodą, w której by się wykąpał taki brudas jak Jeanlin, można by napełniać kałamarze w szkole. Wreszcie odwróceniu do ognia poczęli się kąpać razem, pomagając sobie nawet wzajemnie i nacierając sobie plecy mydłem. Potem, podobnie jak siostra poszli nago na

górze.

– Ależ nachlapali – odezwała się matka i pozbierała z ziemi przemoczone ubrania, by je wysuszyć. – Alziro, zbierz wodę gąbką.

Przerwał jej hałas dolatujący zza ściany. Słysząc było kłątwy mężczyzny i płacz kobiety, potem łoskot bójki, tupanie nóg i głucho uderzenia, jakby bił ktoś pięścią w wydrażoną dynię.

– O, biedna Levaque dostaje swą porcję! – powiedziała Maheude spokojnie zajęta wyskrobywaniem łyżką garnka.

– A to komiczne, Bouteloup zapewniał, że zupa gotowa.

– Aha, gotowa! – odparła Maheude. – Widziałam zieleninę na stole jeszcze nie obmytą nawet.

Krzyki wzmogły się, potem nastąpiło straszne uderzenie, od którego zatrzęsły się mury, i zapadła cisza.

Maheu połknął ostatnią łyżkę i rzekł spokojnie, jakby ogłaszał wyrok:

– To całkiem naturalne, jeśli zupa nie była gotowa.

Wypił szklankę wody i wziął się do głowizny. Krajał ją w kostkę, nabierał na nóż i jadł na chlebie, nie używając widelca. Ojciec nie lubił, by mówiono podczas jedzenia, nikt się przeto nie odzywał, sam Maheu nawet, choć poznał, że nie jest to głowizna ze sklepu Maigrata, nie pytał żony, skąd ją wzięła. Spytał tylko, czy stary jeszcze śpi, i zamilkł znowu, dowiedziawszy się, że dziadek wybrał się już na zwyczajną swą przechadzkę.

Zapach mięsa zwabił Henrysia i Lenorę zajętych do tej pory

robieniem rzek z kałuży stojącej na podłodze. Przybiegli zaraz i stanęli przed ojcem śledząc oczyma każdy kawałek. Gdy ojciec brał go z talerza, oczy malców połyskiwały nadzieją, ale zasłaniały się chmurą rozczarowania, gdy ginął w jego ustach. W końcu spostrzegł ich żarłoczne miny i pobladłe twarze.

– Czy dzieci jadły mięso? – spytał.

Maheude zawahała się.

– Wiesz – ciągnął dalej – że nie lubię niesprawiedliwości. Odbiera mi apetyt, gdy stoją tak żebrząc o kęs jedzenia.

– Ależ naturalnie! – zawołała z gniewem. – Miały, rozumie się. Cóż to, czy ich nie znasz? Połknęłyby wszystko i jeszcze by chciały więcej! Alziro, powiedz... wszak prawda, że wszyscy jedliśmy mięso?

– Jedliśmy wszyscy, ojcze! – odparła garbuska, kłamiąc w takich razach ze spokojem dorosłej osoby.

Lenora i Henryś zdrętwieli ze zdumienia i oburzenia na kłamstwo bezczelne, za co zawsze dostawali różgi. Małe ich dusze poczęły się buntować, chciały zaprotestować i powiedzieć, że może ktoś jadł, ale ich przy tym nie było.

– Wynoście mi się precz! – krzyknęła matka i odpędziła dzieci w drugi kąt izby. – Wstydzicie się państwo jak psy natrętnie cisnąć się do ojca, gdy je. A gdyby nawet sam tylko miał mięso, to czyż za to nie pracuje, gdy wy nicponie, gałgany kosztujecie tylko rodziców... i to więcej nawet jak dorośli.

Maheu przywołał dzieci do siebie, posadził każde na jednym kolanie i podzielił się z nimi resztą głowizny. Każde dostało

swą porcję. Krajał im mięso w małe kostki, a malcy połykali je chciwie.

Skończywszy odezwał się do żony:

– Nie będę teraz pił kawy. Wolę wprzód się umyć... Pomóż mi wylać brudną wodę.

Wzięli beczkę za uszy i wylali jej zawartość do zlewu przed domem. Jeanlin zszedł z góry. Ubrany był w suchą odzież, miał na sobie płócienne spodnie i bluzkę brata, za wielką nań trochę. Gdy matka spostrzegła, że wymyka się przez na pół otwarte drzwi, zatrzymała go i spytała:

– Dokąd idziesz?

– A tam!

– Gdzie... tam?... Słuchaj, musisz mi na wieczór postarać się o trochę zimowej sałaty. Rozumiesz? Spróbuj tylko nie przynieść, to już ja się z tobą rozmówię.

– Dobrze, dobrze!

Jeanlin poszedł z rękami w kieszeniach, powłócząc sabotami. Był to chudy, nikły chłopak. Przyszedł na świat przedwcześnie, nierozwinięty był, a słabe kości uległy już zawodowemu zdeformowaniu. Idąc chwiał się w biodrach jak stary spracowany górnik. Niedługo potem zjawił się Zachariasz. Był starannie ubrany, miał na sobie kaftan wełniany czarny w siwe paski. Ojciec upominał go, by nie wrócił późno. Skinął tylko głową i poszedł milcząc, z fajką w zębach.

Beczkę napełniono świeżą letnią wodą. Maheu powoli zdjął bluzę. Na jego skinienie wyprowadziła żona Lenore i Henrysia

na pole, bo ojciec nie lubił myć się przy nich, jak to czyniła większość jego kolegów. Nie przyganiał tego nikomu, mówiąc tylko, że dzieci jedynie kąpią się razem.

– Cóż robisz tam na górze? – spytała Maheude córkę, podnosząc głos.

– Naprawiam sobie suknię, bom ją wczoraj rozdarła – odpowiedziała Katarzyna.

– Dobrze, dobrze, nie schodź tylko na dół, ojciec się kąpie.

Maheu został sam z żoną. Maheude położyła Stelkę na krześle, a mała jakoś tym razem była cicho. Leżała blisko ognia i zadowolona patrzyła na rodziców wielkimi bezrozumnymi oczyma. Ojciec rozebrał się do naga, przykucnął przy wannie, zanurzył naprzód w wodzie głowę i natarł ją czarnym, ostrym mydłem, którego używanie bezustanne przez wiek mogło wreszcie wybielić i odbarwić włosy całych pokoleń. Potem wszedł do wody, zamacał piersi, brzuch i ramiona nacierając je kolejno mydłem. Żona stała opodal i przyglądała mu się.

– Słuchaj teraz – zaczęła – widziałam twe zdziwienie, gdyś wrócił. Pewnie dręczyła cię troska o dom... i dlatego rozpogodziłeś się, ujrawszy zapasy. Wyobraź sobie, te tuczne wieprze z Piolaine odmówiły, nie dostałam ani grosza. Z wielką łaskawością obdarzono mnie tylko sukniami dla dzieci, a ja wstydziłam się żebrać... słowa dławiły mnie w gardle... nie mogłam.

Przerwała na chwilkę i poszła poprawić Stelkę na krześle, obawiając się, by nie spadła. Ojciec mydlił się dalej, nie

podniecając jej do dalszego opowiadania pytaniem. Czekał cierpliwie, aż pojmie, jak się to stało.

– Zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, że Maigrat odprawił mnie z niczym i to stanowczo, odpędził jak psa... Wyobraź sobie, w jakiej byłam pułapce! I na cóż się zdadzą ciepłe suknie, gdy nie ma co jeść.

Maheu podniósł głowę i milczał dalej. Jak to, pomyślał, nic nie dostała w Piolainie, nic u Maigrata, skądże więc wzięła to wszystko? Maheude zawinęła teraz rękawy, jak to czyniła codziennie, i zaczęła nacierać mydłem miejsca, do których nie mógł sam dostać. Lubił, gdy go mydliła i nacierała tak silnie, że aż jej stawy trzeszczały. Obrabiała mu plecy, a on zaparł się nogami w becze, by nie upaść pod naciskiem jej rąk.

– Wróciłam więc do Maigrata i nagadałam mu co wlaźło... że nie ma serca, że jeśli istnieje jaka sprawiedliwość, to mu ten upór szczęścia nie przyniesie. To go złościło, przewracał oczyma i rad by był uciec lub schować się pod ziemię...

Od pleców przeszła do pośladków i w zapale myła, mydliła, szorowała wszędzie nie pomijając żadnego miejsca, jakby czyściła swe rondle w sobotę. Spociła się, zadyszała przy tej robocie tak, że jej słowa utknęły w gardle.

– Wreszcie powiedział, że jestem jak wesz, obiecał, że do soboty będzie nam dawał co dnia chleba i co najważniejsze dał mi pięć franków. Zażądałam jeszcze masła, kawy, cykorii... i chciałam także wziąć mięsa i ziemniaków, ale spostrzegłam, że zaczyna być zły na nowo. Zresztą wydałam tylko siedem

sous na głowiznę i osiemnaście na ziemniaki, więc mam jeszcze trzy franki siedemdziesiąt pięć centymów na kości i mięso do rosółu... A co, dobrze użyłam ranka?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.